

CZEŚĆ DRUGA Książki:
"Wciąż musimy być w drodze"
ks. Jarosław Sutryk
Siedlce 2006

CZYN

1. Pierwszy rajd rowerowy
2. Rajd pieszy - Stella Maris
3. Kuracja odchudzająca

1. PIERWSZY RAJD ROWEROWY

Szczerze przyznam, że nie odczuwałam jakiegóż silniejszej potrzeby zaangażowania się w rajdową eskapadę. Na dodatek termin wydawał się zbyt szybki – tylko tydzień po zakończeniu szkolnych katuszy, a tu znowu trzeba się będzie „męczyć”. Potrzebowałam odprężenia, wytchnienia, relaksu. Chciałam w pełni delektować się słodkim smakiem wytęsknionej laby. Poza tym pragnęłam wreszcie pobyc w domu dłużej i bez psychicznych obciążeń natury dydaktycznej, które jak dotąd potrafiły mi zatruć radość każdego weekendu spędzanego wśród najbliższych.

Wbrew sobie, po stoczeniu emocjonującej demagogicznej walki z Babcią i Mamą, (które odradzały mi to „męczenie” jak mogły) zadecydowałam się jednak podjąć wyzwanie. Z resztą byłam zobowiązana wobec kilku osób.

Skoro już „musiałam” jechać, postanowiłam sobie przynajmniej wynaleźć kilka plusów owego wyjazdu. Nie szukając długo uznałam, iż mam co najmniej trzy możliwości:

1. poprawienia własnej kondycji fizycznej
2. bycia wśród przyjaciół
3. właściwego wykorzystania każdej chwili.

Całkiem nieźle! Podświadomie czułam, że w gruncie rzeczy, pozostanie w domu nie wyszłoby mi na dobre, ale co do rajdu – też nie miałam większych oczekiwań...niemniej jednak pozostałam przy swojej decyzji. Zaryzykowałam, a moja stawka wynosiła 10 cennych dni.

Takim sposobem, trochę na przekór własnemu ego wzięłam udział w jednych z najwspanialszych rekolekcji mojego dotychczasowego życia!

SOBOTA - 30 czerwca

Pakowanie bagażu nie zajęło mi tak potwornie dużo czasu, jak do pieszej pielgrzymki po kresach. Dość szybko uporałam się z przygotowaniem. Tata zadbał o przegląd mojego roweru, dopełniłam formalności i byłam w Siedlcach znacznie przed czasem.

Zebraliśmy się wszyscy pod domem, w którym mieszkają Księża, niedaleko kościoła Św. Stanisława. Załadowywanie rowerów i bagaży na ciężarówkę odbywało się wśród ogólnej wesołości i ciekawości. Ksiądz przybrał tajemniczą minę i nie zdradzał do końca szczegółów, aczkolwiek każdemu zainteresowanemu poświęcał swą uwagę by rozwiewać wszelkie wątpliwości.

Póki nie zaczął się delikatny czerwcowy deszczyk, było gorąco i parno.

Z naszych rozmów wynikało, że jeszcze nie ochłonęliśmy po szkolnych wrażeniach. Tymczasem już czekały nas kolejne. Musieliśmy wykrzesać sporo energii z umęczonych, zwiotczałych ciał oraz wystawić swoje wycieńczone organizmy na pastwę wiatrów, deszczy, piorunów ewentualnie sztormu, tornada, tsunami, trzęsienia ziemi i nie wiadomo jeszcze czego... W końcu wszystko się może zdarzyć! Chociaż z góry wykluczyłam erupcje wulkaniczne i zamiecie śnieżne.

Dręczyło mnie natrętnie pytanie, w jaki sposób przejadę te zamierzone 75 km dziennie?! Przeprowadziłam wśród obecnych małą ankietę dotyczącą wcześniejszych treningów pod kątem wycieczki i każdy stwierdził, iż „coś tam ćwiczył”. A ja nie bardzo... Nadszedł ostatni, ale najbardziej dramatyczny, moment krytyczny. Od jego pokonania w tym momencie zależało „wszystko”. Nagle zrobiło mi się bardziej gorąco. Przeanalizowałam błyskawicznie sytuację, rozpatrzyłam możliwe opcje i niewiele brakowało, a wymknęłabym się niepostrzeżenie dając sobie spokój z tym całym rajdem. Jednak coś uparcie siedziało we mnie i przekonywująco szeptało, że naprawdę warto pojechać. Ostatecznie uwierzyłam wewnętrznemu głosowi i nie żałuję. Dostałam więcej niż oczekiwałam, a w moim życiu zaszły nieodwracalne zmiany...na lepsze!!!

Do Dębowej Kłody – bo tam mieliśmy stacjonować – dojechaliśmy w mniejszych grupkach, nie wszyscy jednocześnie. Dwóch chłopaków wsiadło do ciężarówki z bagażami (podobno dostali prestiżowe miejscówki w szoferce!), cztery osoby zabrały się z Księdzem prywatnym samochodem, a siedem (w tym ja) dusiło się i pociło w dokładnie zapelnionym, przelotowym autobusie do Parczewa. Mimo lekkiego dyskomfortu fizycznego, w miłym towarzystwie czas mijał niepostrzeżenie i bardzo przyjemnie. Chociaż podróż odbywała się różnymi środkami lokomocji, wszyscy byli z niej zadowoleni, a przynajmniej takie sprawiali wrażenie.

Dotarliśmy do Parczewa. Stamtąd zabrał nas Ksiądz samochodem. Niedaleko Dębowej Kłody spotkaliśmy w drodze 14-tego i zarazem najstarszego współtowarzysza – Krzysia, naturalnie studenta teologii. Krzysiek hobbystycznie uprawiał kolarstwo i zachowywał się jak profesjonalista. Postanowił (ambitnie) dojechać na miejsce właśnie rowerem, co oznaczało pokonanie ok. 100 km. Niemniej radził sobie świetnie, nawet nie musieliśmy go specjalnie dopingować. Rzuciliśmy tylko przez okna auta: „masz jeszcze 7 km!” Na szczęście chłopak nie zdradzał najmniejszych śladów załamania i dojechał do końca z zadowalającą średnią prędkością.

My natomiast byliśmy tuż tuż, kiedy ukazał się isticie rajski widok – ogrooomny biały budynek z daleka rzucający się w oczy swoim zielonym dachem. Miejsce niby się zgadzało. Aż nie chciało się wierzyć. Serca zaczęły szybciej uderzać z radości. Wszystko wokół cieszyło się wraz z nami. Myślałam w duchu: będziemy mieli śliczne mieszkanko, to dopiero plebania!!! Rozsadzani entuzjazmem nie mogliśmy się doczekać, kiedy wysiadziemy z samochodu, gdy nagle Ksiądz zamiast w prawo do budynku z białej cegły i zielonym dachem...skręcił w lewo, w kierunku kościoła. Zapanował wśród nas niepokój, żeby nie powiedzieć – panika! Chyba trochę przesadziłam. W każdym razie to duże białe zieleniejące dachem nigdy nie było, na pewno nie jest i raczej nie będzie plebanią. To po prostu nowo budowana szkoła... Natomiast „nasza” plebania mieściła się naprzeciwko tej szkoły. Pogodzeni z losem ruszyliśmy by zbadać pewny już teren, zwiedzić prawdziwą plebanię i w ogóle zorientować się, co w trawie piszczy.

Rezultat oględzin wypadł nad wyraz korzystnie! Prawdziwa plebania posiadała w części dolnej dość dużo pomieszczeń i jeden kręty długi korytarz. Największy zaś jej plus stanowiło bezpośrednie połączenie z kościołem. Wystarczyło dosłownie parę kroków, by mieć idealne warunki do modlitwy. Rzadko zdarza się taki komfort! Wracając do pomieszczeń – nasza sypialnia, bawialnia, biblioteczka, gabinet muzyczny (z oryginalnymi kościelnymi organami!), warsztat intensywnej pracy umysłowej, salon towarzyski i pokój

ranno - wieczorowy w jednym zajmowała jakąś salkę katechetyczną. Było tam mnóstwo zsuniętych odpowiednio krzeseł, mających służyć za półki, wieszaki na ubrania, suszarki na mokre ręczniki, biurka i fotele. Posiadały jeszcze inne zastosowania – w zależności od potrzeby i fantazji użytkownika, a fantazji nam nie brakowało...

Kwatery dostaliśmy w trzech pokojach. Dużą salkę zajmowało 8 dziewczyn i 4 chłopców, w małym pokoiku (wzbogaconym o łóżka) bezpośrednio sąsiadującym z korytarzem miał zaszczyt bawić student-kolarz Krzysiek wraz z Hubertem. Ksiądz natomiast wyemigrował z dala od nas – na piętro. Wiedział, co się święci i czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal... czyli dał nam poniekąd wolną rękę, a raczej nie miał siły patrzeć na to, jak młodzież zamiast wypoczywać, dodatkowo przysparza sobie męczarni. A my nie mogliśmy usiedzieć spokojnie...

Salkę dzieliła na część męską (od wejścia) i damską przegroda wykonana, szczerze mówiąc, nie wiem z czego, ale o dość stabilnej konstrukcji. Ta ścianka działowa przetrwała do końca, niewzruszenie spełniając ambitną rolę ochrony naszej intymności. Weszłam za osobliwy parawan do części damskiej. Zaczęłyśmy starannie przegotowywać sobie stanowiska nocnego wytchnienia. Ogromną ilość czasu, zabrało nadmuchiwanie materaców. Bartek wytrwale służył swoimi płucami do czasu aż mu się zdarły i jakaś dobra dusza (zdaje się - Krzysiek) przyniosła „nożną” pompkę. Korzystanie z pompki wymagało nadludzkiej cierpliwości, ale sytuacja została napompowana, tzn. opanowana.

W ramach wypoczynku po wyczerpujących czynnościach organizacyjnych urządziliśmy małą wieczorną przejażdżkę rowerową po okolicy. Rekreacja udała się znakomicie. Wtedy pojawiły się dla mnie pierwsze szanse na przejechanie rajdu w całości. Aczkolwiek przyszło inne zmartwienie - coś w moim rowerze nieustannie piszczało, trzaskało i skrzypiało – pewnie dlatego, że od dawna na nim nie jeździłam. Musiałam przyzwyczać się do swojego sprzętu! „Nic to” – jakby powiedziała Basia Wołodyjowska, nic. Wmawiałam sobie, że trudności te są przejściowe a wszystko niebawem się ułoży jak trzeba.

Ogólnie rzecz biorąc warunki na plebani bardzo nam odpowiadały. Przynajmniej nie brakowało atrakcji. Łóżka się nie pokazały, więc spaliśmy na materacach (kolejne nowe doświadczenie). Toaleta znajdowała się w pomieszczeniu sąsiadującym z naszym sypialnio-salonem. Żeby dostać się do umywalki, w zakrystii, trzeba było pokonać sekretariat. Natomiast dojście do łazienki to coś takiego, jak bieg na orientację. Owszem – bieg, bo łazienka ciągle zdawała się być zajęta i oprócz kuchni stanowiła obiekt najbardziej oblegany. Kiedy by spojrzeć w jej stronę – ustawiały się tam kolejki. Wnętrze łazienki, niespotykane przestrzenne, mogło pomieścić więcej niż jedną osobę, obok wanny i prysznic z ciepłą(!) wodą.

W przypadku ataku nieopanowanej muzycznej inwencji mogliśmy ją wyładować na dobrze działających organach i gitarze niewiadomego pochodzenia. Spragnieni wiedzy mieli do dyspozycji cały regał publikacji, od małych broszurek po grubaśne tomy. Zaś przez okna wychodzące na ogród wpadało wspaniałe powietrze.

Podsumowując obserwacje dnia dzisiejszego stanęło na tym, że otoczenie jest idealne do wakacyjnego wypoczynku i wojaży, sprzyja twórczemu wysiłkowi, zmusza do refleksji, zapewnia bezpieczeństwo oraz spokój. Kościół wraz z plebanią znajdowały się na samym skraju wioski, a przy tym otaczało je mnóstwo zieleni, tak, że nam ich położenie zupełnie odpowiadało i cieszyliśmy się, że jesteśmy właśnie tutaj. To miejsce miało w sobie coś niezwykłego, zachęcającego do pozostania w nim jak najdłużej.

Pierwsza noc, jak zwykle bywa, nie została przespana w całości. Dzieliliśmy się wzajemnie swoimi spostrzeżeniami i próbowaliśmy przyzwyczać się do nowych posłań. Jeśli chodzi o to drugie-mój materac początkowo był jakiś nieprzystępny i zupełnie nie chciał się dopasować. Uciekłam się do podwójnego spuszczenia z niego powietrza. Pomogło. Ale

i tak nie było mi dane zasnąć. Każdy chciał coś od siebie powiedzieć, co prawda raczej szeptem, ale mimo to...

Jeszcze do tego w nocy panował straszny głód, bo „zapomnieliśmy” najeść się lepiej w czasie kolacji i zrobić ewentualnych zapasów. Na drugi raz postanowiliśmy lepiej się zorganizować.

I tak minęła sobota – DZIEŃ PIERWSZY.

Porada dnia:

przed wyjazdem na rajd rowerowy naoliwić łańcuch.

NIEDZIELA - 1 lipca

Niedzielny poranek Paweł i Bartek przywitali na bieżni przy nowo budowanej szkole. Ich zaangażowanie w treningi ku poprawieniu kondycji spotkały się z moim nieukrywanym podziwem. Nasi mężczyźni codziennie rano wstawali wcześniej od innych i choć niedospani, wytrwale biegali, biegali, biegali, twierdząc przy tym uparcie, że wcale nie jest im specjalnie ciężko. Akurat. To zadziwiające, że w wakacje potrafili zdobyć się na taki wysiłek! Czyżby pracowali w myśli sloganu: „trzymaj formę ponad normę!”? Nie ma co – formę to mieli niczego sobie.

Dzisiaj po raz pierwszy przygotowywaliśmy śniadanie. Zgłosili się pierwsi ochotnicy, no i wyszło im całkiem dobrze. Były z nami w Dębowej Kłodzie dwie panie nauczycielki – pani Basia i pani Agata, które zajmowały się działalnością kulinarną. Zostały obarczone niezwykle ważną i odpowiedzialną misją, a mianowicie przygotowaniem każdego dnia obiadokolacji. Codziennie przyjeżdżając po terenowych wyczynach znajdowaliśmy na stole gorące i smaczne jedzonko. Dzięki temu mogliśmy pokonać wszelkie trudności. Panie wraz z Księdzem także zaopatrywały w prowiant. Znały plebanię „od kuchni” i potrafiły zaradzić wszystkim problemom. A jak się potem okazało – było ich mnóstwo.

Szczególną opieką otaczał nas miejscowy Ksiądz Proboszcz. Zawsze uśmiechnięty starał się byśmy wspominali pobyt na jego plebani jak najlepiej. I rzeczywiście zrobił ze swej strony wszystko, co mógł. Jesteśmy Mu za to bardzo wdzięczni.

Mszę Świętą parafialną odprawiał właśnie znajomy Ksiądz Proboszcz, przy czym mieliśmy okazję konfrontacji z miejscowym sposobem wymawiania końcówek. Sposób ten bardzo przypadł nam do gustu, aczkolwiek raczej nie będziemy go przenosić na nasz prywatny grunt.

Po Eucharystii i śniadaniu Ksiądz Jarek zabrał nas na przejażdżkę po trasie, która była prelude do tego, co mieliśmy przeżywać w następane dni (zawierał w swej długości próbki różnego rodzaju nawierzchni). Ksiądz chciał nam pokazać najciekawsze miejsca w najbliższym regionie. Najpierw obejrzelśmy uważnie dwa jeziora – Białkę oraz Czarne i doświadczyliśmy temperatury ich wód za pomocą rąk (a niektórzy za pomocą nóg). Jezioro Białka sprawiło wrażenie bardziej ucywilizowanego, toteż postanowiliśmy wpaść tam jeszcze kiedyś w celach czysto rozrywkowych.

Następnym celem przejażdżki był dworek Tadeusza Kościuszki w Sosnowicy. Z miejscem tym wiąże się niezwykle romantyczna historia miłości owego Tadeusza i córki państwa Sosnowskich – Luizy, zwaną popularnie – Ludwiką. Miłość Tadeusza i Ludwiki, jak przystało na tamte czasy, była wielka i nieszczęśliwa. Ojciec – możny pan Sosnowski nie oddał córki zacnemu kawalerowi (Tadeusz pełnił funkcję jej korepetytora!), utrzymując uparcie, że jest on „byle szlachetką”. Z tego wszystkiego młodzi, szalenie w sobie zakochani, pominęli zdanie pana Sosnowskiego odnośnie całej sprawy i najzwyczajniej w świecie uciekli biorąc po drodze ślub. Ojciec Ludwiki jednak nie dał za wygraną. Wysłał

własną brygadę do zadań specjalnych, która wytropiła zuchwałą parę żądną megalomanią społecznych. Panna Ludwika została bezpiecznie przetransportowana do rodzinnego domu, a potem wydana za mąż, za kogo trzeba (nie wiem, czy żyli długo i szczęśliwie...). Tadeusza nie dało się dorwać. Załamany młodzian wziął się w garść i znalazł schronienie...w Stanach Zjednoczonych! Tam, dziwnym trafem, udało mu się zostać światowej sławy bohaterem wojny secesyjnej. Przypadki chodzą po ludziach. W końcu nie ma tego złego...

Dziś pamiątką szalonej miłości panny Sosnowskiej i polskiej narodowości bohatera amerykańskiej wojny są dwa drzewa podobno zasadzone przez kochanków - dąb (symbolizujący Tadeusza) oraz sosna (symbolizująca Ludwikę). Drzewa rosnąc – splotły się ze sobą i tak trwają po dzisiejsze czasy! Istnieje tylko drobny szczegół, sosna ...uschła! Niektórzy mężczyźni twierdzą, że tak właśnie „usycha” miłość kobiety...Pozwolę sobie tego nie skomentować. Teraz dworkek stoi cierpliwie czekając, aż ktoś przyjdzie go odwiedzić, zrobić zdjęcia, odetchnąć czystym powietrzem i podelektować się spokojem wśród bujnej zieloności. Taki klimat otoczenia sprzyja poruszeniom serca i może znów jakaś para, któregoś lata...

Dość o tem. Przejdźmy do kolejnego, przedostatniego punktu programu. Czyli czas na skansen wsi ukraińskiej w Holi. Dojeżdżaliśmy tam około czwartej po południu. Wszyscy byli już nieco zmęczeni wrażeniami natury poznawczo-rekreacyjnej i nasze ruchy uległy spowolnieniu. Dusza chciała jeszcze czegoś doświadczyć, ciało zaś mówiło: dość! Tym razem spór wygrała dusza. Ruszyliśmy na zwiedzanie. Skansen obejmował XIX - wieczną stodołę przywiezioną z Kostomłotów, wiejską chatę z początku XX wieku oraz wiatrak. Wszystko oryginalne. Do środka wiatraka weszliśmy po solidnych drewnianych schodach. Wewnątrz panował zaduch. Małe otwory w ścianach – okna, nie wpuszczały ani dużo powietrza ani światła. Było gorąco i ciemno. Ksiądz zapoznał nas z mechanizmem działania tego gigantycznego urządzenia. Potem zeszliśmy, by obejrzyć chatę.

Posiadała ona pełne umeblowanie i wyposażenie sprzętowe. Kiedyś mogła być obiektem pożądania niejednej wiejskiej rodziny, ale my obserwując jej wnętrze dziękowaliśmy w duchu za swoje mieszkania...Niemniej jednak mogliśmy na własne oczy przekonać się, w jakich warunkach ludzie dawniej żyli. Dla mnie było to wszystko za małe, za twarde i za zimne, ale miało swój urok. Oblegliśmy ze wszech stron księgę pamiątkową umieszczoną przy wyjściu z chaty. Udokumentowaliśmy swoją obecność na różny sposób, w zależności od fantazji i chęci. Fantazji oraz chęci nie brakowało, ale nasze zmęczenie dało się we znaki, więc skończyło się na zwykłych autografach. Natomiast stodołę wykonał ktoś niezmiernie cierpliwy z grubszych, długich patyków. Wyglądała na porządną robotę. Pozwoliliśmy sobie zajrzeć do środka. W stodole jak to w stodole. Tyle, że przez patykowe ściany można było zobaczyć, co znajduje się z tyłu oryginalnego obiektu.

Po dłuższym zwiedzaniu zapragnęliśmy wracać. Spragnieni i głodni wypiliśmy, co dało się wypić, zajechaliśmy nad grupę stawów by odpocząć tam chwilę, a potem już tylko z powrotem!. Nastąpiły pierwsze komplikacje. Nasze rowery zaczęły się po dłuższej jeździe... rozsypywać! Naturalnie nie wszystkie. Ale skoro mieliśmy przed sobą jeszcze siedem dni jazdy, trzeba było nad nimi popracować. Dokręcaniem obluzowanych części zajął się niezastąpiony Anioł stróż naszych dwóch kół – Krzysiek.

Przeżyliśmy dziś pierwszy, niegroźny karambolik. Winą za całe zajście obarczyliśmy wiatr. Pedalowaliście sobie spokojnie. Dookoła nas – las, ptaki śpiewały, radość buchała z każdej twarzy, gdy nagle śmignął obok jakiś samochód. Świsnęło, dmuchnęło, złowrogo zawirowało w powietrzu i po chwili ze zgrozą zobaczyliśmy, że zielona...basebolówka Księdza leży na szosie! Za nic w świecie nie mogliśmy jej przejechać! Natychmiast jeden za drugim zaczęliśmy hamować! Hamować bezwzględnie!!! A że Ksiądz jechał jako pierwszy, zrobiło się całkiem przyzwoite zamieszanie... Nie było siły, ktoś musiał na kogoś wpaść! Czekaliśmy tylko – kiedy! Odpowiedź pojawiła się wkrótce. Wszystko

rozegrało się na końcu kolumny. Na szczęście nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń i skończyło się na szoku pourazowym (krótkotrwały uraz na tle psychicznym do wszystkiego, co miało dwa koła i hamowało).

Niedzielny wysiłek rowerowy zaowocował mocą wrażeń i odleżynami (a raczej odsiedzinami) połączonymi z uczuciem odrętwienia dolnej partii ciała sąsiadującej przez dłuższy czas z siodełkiem... Przejechaliśmy całe 46 km. Może nie jest to jakiś szalony maratonowy dystans, ale, jak na niedzielną przejażdżkę po południu, zupełnie wystarczył.

Cały dzień bez mała, spędziłam w lekkim stresie, przy czym wieczorem nieco przybrał on na sile. Dzisiaj, właśnie wieczorem, miałam poprowadzić medytację na temat: „W poszukiwaniu miłości”. Medytacjami nazywał Ksiądz nasze rozważania połączone z modlitwą prowadzone codziennie w oparciu o wybrane zagadnienia nauczania Prymasa Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Każdy z uczestników tego rajdu miał okazję opracowania jakiegoś tematu. Nasz rajd rowerowy był bowiem niezwykle. Został tak obmyślony, by przynieść nie tylko korzyści fizyczne, ale także psychiczne, umysłowe, a przede wszystkim duchowe. Jednak nie od początku zdołaliśmy sobie zdać sprawę, w jakim wspaniałym przedsięwzięciu bierzemy udział.

Stosunkowo dużo czasu poświęcaliśmy na modlitwę. Musieliśmy też myśleć, dużo myśleć. Ksiądz nie pozwalał naszym mózgom na leniuchowanie, ani w ogóle na leniuchowanie. Wszystko było tak dobrze zorganizowane, że na błahe sprawy i luźne rozmowy prawie nie starczało czasu. Wszędzie biegiem. Dawaliśmy dużo z siebie. Musieliśmy przełamywać tremę przed publicznymi wystąpieniami (takie też bywały), ale jakoś nie zżarły nas nerwy. Dobry przymus nie jest zły! Tak więc godne „przetrawienie” rajdu wymagało nie lada intelektualnego wysiłku.

Jedni oczekiwali tego, inni czegoś innego, toteż na początku zaznaczał się konflikt interesów. Wakacje wcale nie oznaczają, że należy się wylegiwać do góry brzuchem. Chociaż z drugiej strony – gruntowny odpoczynek, po mordędzie w szkole, nam się należy! Staraliśmy się pogodzić te dwa stanowiska ciągle pamiętając o tym, że wszystko, co wartościowe, nie przychodzi łatwo.

I rzeczywiście nie przychodziło. Jakimś cudem znajdowaliśmy w sobie resztki energii intelektualnej, by stawić czoła wszelkim wyzwaniom, które tego wymagały i jakoś w rezultacie – udawało się! Ta niedziela była dopiero początkiem naszych zmagañ wszelkiego rodzaju. Dla mnie ten początek stanowił szczególnie ciężki orzech do zgryzienia.

O idei medytacji zawiadomił nas Ksiądz odpowiednio wcześniej oraz rozdał bazowe materiały opatrzone pomocniczym komentarzem. Wystarczyło przeczytać, przeanalizować a następnie podzielić się swoimi przemyśleniami ze wszystkimi. Niby nic strasznego, ale w praktyce przedstawiało się to znacznie gorzej. Trudno tak powiedzieć wszystko, co się nasunęło na myśl w sposób uporządkowany i sensowny. Postanowiliśmy więc napisać sobie to, co chcieliśmy powiedzieć, a skoro już pisać – to porządnie! Tylko kiedy??? Można było w domu, ale człowiek po zakończeniu szkoły taki zmęczony, totalna blokada na szarych komórkach a i rodzina chciała pomocy... Cała piętująca się góra trudności, pomimo których przygotować się trzeba! Ja byłam pierwsza. Pracowałam trochę w domu, trochę wieczorem w sobotę i przed południem w niedzielę cały czas walcząc z opadającymi powiekami oraz z chęcią wyrzucenia długopisu i wszystkich kartek. Zapisalam nieco papieru, może nie był to szczyt artyzmu, ale przynajmniej wszystko szczerze. Chyba na tym to polegało, aby dać coś od siebie.

Na medytację mieliśmy zgromadzić się po kolacji. W tym czasie zaszczycił nas swą obecnością Diakon Mateusz z seminarium w Opolu Nowym. Jak zwykle, mieliśmy szczęście do opiekunów. Diakon promieniował ogromną radością i nas nią zarażał. Wiele się od Niego nauczyliśmy, poczynając już od niedzielnego wieczoru.

Zjedliśmy obiadokolację, zgłosili się ochotnicy do zmywania, a potem wszyscy poszliśmy do kościoła. Ksiądz zaproponował modlitwę w samym prezbiterium. Każdy usiadł, jak mu było wygodnie. Byłam szczęśliwa, że już za pół godziny będę nareszcie wolna od stresów. Cały dzień to mnie dręczyło, uporczywie „wisało” nad głową, nie pozwalało w pełni cieszyć się życiem. Zdusiłam w sobie myśl o powszechnej kompromitacji i zrobiłam to, co zaplanowałam. Właściwie temat miłości bardzo mi odpowiadał. Poruszył mnie do głębi, długo analizowałam słowa Prymasa Wyszyńskiego, by dzięki temu ponownie odnaleźć sens życia. Nabrałam ochoty do działania i postanowiłam sobie, że nie pozwolę niczym się załamać, nawet kiedy przyjdą trudne chwile.

Oto kilka kluczowych wniosków z moich przemyśleń:

- *Miłości każdy uczy się przez całe życie.*
- *Miłość przekracza wszelkie ramy, nie daje się zamknąć w określonych formach, ciągle zaskakuje i zdumiewa.*
- *Ludzka miłość jest malutka, ułomna i słaba w porównaniu z miłością Mistrza. Nigdy Mu nie dorównamy, ale mamy się ciągle starać – to najważniejsze.*
- *Miłości nie rezerwują sobie wybrani, jest ona dla wszystkich bez wyjątku. Dowartościowuje każdego, którego ogarnia.*
- *Tylko przez Boga można dotrzeć do Miłości Prawdziwej.*
- *Kochając dokonuje się rzeczy wielkich!*

Jak się okazało – wyszło całkiem całkiem. W każdym razie byłam z siebie zadowolona. Humor zrobił mi się taki bardziej szampański, zaś w sercu szalała życzliwość do świata. Kolejny trud, który w jakiś sposób mnie ubogacił. Poczulałam się znacznie lepiej.

Wieczór był bardzo ciepły. O zmroku odmówiliśmy wspólnie różaniec na pobliskim cmentarzu a wracając na plebanię, śpiewaliśmy nasze ulubione piosenki. Prawie nie czuliśmy zmęczenia. Jeszcze udało nam się trochę porozmawiać na powietrzu przy świetle stylowej lampy naftowej, zanim Ksiądz obwieścił wszem i wobec ciszę nocną. Rozum nakazywał wyspać się dobrze, by nie wyglądać jak przejechany kot następnego dnia, ale wakacje mają swoje prawa...

I tak minęła niedziela – DZIEŃ DRUGI.

Zasypiając po przeżytych stresach i niepokojach myślałam sobie w poczuciu błogiego spokoju:

Ale księża to się mają ze swoimi kazaniami!!!

PONIEDZIAŁEK - 2 lipca

Agnieszka po przebudzeniu i oględzinach swego łoża stwierdziła, że ma... mokry materac! Już chciałam to odpowiednio skomentować, gdy na swoim materacu zauważyłam to samo! Co najmniej zastanawiające. Owa wilgoć wywoływała jednoznaczne skojarzenia... Po chwili zastanowienia doszliśmy do wniosku, że to jest właśnie przypadłość gumowych, nietermoaktywnych materaców. Musiałyśmy się z tym pogodzić i znieść to do końca obozu.

Czekał nas pracowity dzień, choć wtedy jeszcze o tym nie wiedzieliśmy. Ksiądz starannie dbał o nasz komfort psychiczny pod tym względem. Choć odpoczynek w nocy pozostawiał wiele do życzenia, jeszcze nie wyglądaliśmy jak przejechane koty i byliśmy w stanie dużo zdziałać. Po obfitym śniadaniu (nigdy nie przypuszczałam, że tyle mogę zjeść!) i zmywaniu wyruszyliśmy w drogę. Miejscem docelowym było Sanktuarium Matki Bożej w Ostrowie Lubelskim. Dzisiejsza trasa dała się we znaki jako wybitnie terenowa. Kilkanaście kilometrów wprost przez las, wcale niekoniecznie po wyznaczonych ścieżkach – tylko trzeszczały szyszki i wszelkie patyki. Po runie leśnym jeszcze jakoś dało

się jechać. Znacznie trudniej było przepawić się przez piachy. Oczywiście część męska, doświadczona w dziedzinie kolarstwa wyczynowego, dawała sobie świetnie radę. Rowery górskie miały okazję pokazać, co potrafią. Ale jak ktoś był fachowcem – radził sobie na każdym sprzęcie. Krzysiek miał bardzo cienkie opony, przystosowane do jazdy po autostradach, jednak szarżował zanurzony w piachu, jakby nigdy w życiu nie jechał po lepszej nawierzchni. Diakon Mateusz i reszta chłopaków też zdawali się nie mieć większych problemów.

Natomiast dziewczyny nie chciały być gorsze i wykorzystywały najróżniejsze sposoby aby przebrnąć przez te utrudnienia natury w przyzwoitym tempie. Staraliśmy się mijać co gorsze odcinki, trochę na małych przerzutkach, potem na dużych, jechać na przedzie, na tyle kolumny (która kolumny zupełnie nie przypominała...) przejeżdżać raz jak najszybciej, to znów bardzo wolno, w końcu po prostu przechodzić prowadząc rower. Omijanie zaowocowało w jednym przypadku czołowym zderzeniem z gałązkami sosny zwisającymi nad „drogą”, a w drugim – małą wywrotką wprowadzającą nogę między koło a skręconą kierownicę... Najbezpieczniej okazało się przechodzenie, niemniej jednak uciekałyśmy się do niego tylko w ostateczności. Nie chciałyśmy przecież zostać całkiem w tyle, choć tam czuwał wytrwale Bartek. Nie pozwolił, by ktoś się zgubił, ani by komuś stała się jakakolwiek krzywda.

Trzeba przyznać, że ogólnie chłopcy o nas dbali i nie zostawiali tak całkiem na pastwę losu!

Szczególnie pracowity dzień miał dziś właśnie Bartek. Znajdowaliśmy się na terenie lasów, gdzie w czasie drugiej wojny światowej prowadziła swoje działania partyzantka (Ksiądz opowiadał o walkach na tym terenie i o jakimś amerykańskim filmie..., zdaje się – Tymczasem wynikły komplikacje w związku z dętką. Nie pasował rozmiar zapasowej. Udało się ją co prawda umieścić na kole, ale na dłuższą metę taki zabieg nie zdawał egzaminu. Pomimo wszelkich starań, w czasie jazdy uchodziło powietrze z opony, więc trzeba ją było co jakiś czas dopompowywać (nawet dość często). Nietrudno zgadnąć, że pokonywanie drogi w takich warunkach miało z komfortem niewiele wspólnego...

Ale po Bartku nie było widać żadnego zniechęcenia. Dosłownie, ani cienia niecierpliwości i irytacji. Patrzyliśmy na niego z podziwem. Chłopcy starali się, jak mogli, by mu pomóc. Tak to wspólnymi siłami dobrnęliśmy do Ostrowa Lubelskiego.

Po krótkim odpoczynku przed ostrowskim domem handlowym i zakupieniu odpowiedniego rozmiaru dętki zacumowaliśmy pod tamtejszym kościołem. Weszliśmy do środka. Zrobiło się chłodniej i ciemniej. Odmówiliśmy zbiorowo Koronkę do Miłosierdzia Bożego, a następnie obejrzelśmy wystawę prac plastycznych poświęconą Prymasowi Wyszyńskiemu. Moją uwagę zwróciły dwie sentencje Kardynała umieszczone na planszy pod rysunkami:

- *„Warto wszystko oddać, aby Boga zachować.*
- *„Krzyż jest dla współczesnego świata wyrzutem sumienia, bo przypomina wywyższenie poniżonego dziś człowieczeństwa.”*

Po wyjściu z kościoła czekała nas bardzo miła niespodzianka. Akurat w tym dniu parafia przeżywała odpust, więc Ksiądz Proboszcz dysponował dużą ilością rozmaitych smakołyków. Polska gościnność nie zna granic. Poczęstowano nas ogromną ilością pysznego ciasta, a soków owocowych było w bród, tak, że zabraliśmy jeszcze kilka kartonów na drogę! Cudownie pokrzepieni odważnie ruszyliśmy dalej, przy czym niektórzy zbłądzili dodatkowo na odpustowe stragany. Przypadły im do gustu kolorowe trąbki...

Jadąc dalej i trąbiąc w niebogłose natrafiliśmy na wakacyjną oazę w Uścimowie. Odwiedziliśmy tam młodszą siostrę Natalki i przy okazji zwiedziliśmy całą szkołę, w której oaza stacjonowała. Najdłużej zatrzymaliśmy się w sali gimnastycznej, by kibicować drużynom rozgrywającym mecz siatkówki. Podobały nam się zwłaszcza serwy sposobem górnym. Oazę opuściliśmy pozytywnie nastroszeni.

Dalsza droga upłynęła pod znakiem ćwiczenia się w sztuce jechania zwartym szykiem, wszyscy z tą samą prędkością. Jak na razie szło to dość opornie, ale, jak mówią, trening czyni mistrza. Musieliśmy bardziej patrzeć pod koła, niż na wspaniałe krajobrazy po bokach. Szczególnie uważał Michał, by nie dać się zaskoczyć, bo rower co raz płatał mu figle. To odpadł pedał, to jakaś inna część, coś się zgubiło ... Aż dziw, że chłopak się zbytnio nie zestresował.

Staraliśmy się, w miarę możliwości, nawiązać między sobą rozmowę. Jechaliśmy dwójkami lub trójkami, czwórki były niedopuszczalne. Zagrożenie w postaci nadjeżdżającego auta oznajmiał przenikliwy gwizd z tyłu (Krzysiek), lub też trąbienie – z przodu (Ksiądz, miał specjalną trąbkę do tych celów w wyposażeniu). Nie mieliśmy o co się martwić. Czas mijał szybko, a rozmowy prowadzone w czasie jazdy, dodatkowo ten wpływ przyspieszały. Ksiądz systematycznie zwiększał nam dzienny dystans, więc nie czuliśmy się bardzo zmęczeni. Tylko te siodełka... Siedzieć, jak siedzieć, ale wstać, a potem znowu usiąść: uuuszzzzpaaauuuujajaj!!! Nie życzę nikomu takich doznań! Wiedzieliśmy, że po pewnym czasie człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego, więc pewnie do siodełek rowerów górskich też. Ta jedna świadomość trzymała nas przy kierownicy.

Wróciliśmy pod wieczór na plebanię. Dostaliśmy trochę czasu na przygotowanie się do Mszy Św. Najwięcej kłopotu sprawiło nam ułożenie modlitw powszechnych, które odbywało się jeszcze, gdy siedzieliśmy na rowerach. Co nagle, to po diable, więc powoli, starannie dobieraliśmy intencje i sformułowania. Zeszło przy tym sporo czasu, ale mieliśmy mniej więcej wszystkie modlitwy, jakie zaplanowaliśmy.

Już nie pamiętam, w jakiej kolejności, ale po przyjeździe wzięliśmy udział we Mszy Świętej, adoracji, medytacji i kolacji. Przyjeliśmy Komunię Świętą pod dwiema postaciami. Wytworzył się niepowtarzalny nastrój – duży pusty kościół, a nasza mała grupka tuż przy ołtarzu. To miejsce bardzo nam odpowiadało.

Na kolację zaserwowano nam wspaniałą pomidorówkę, nawet poprosiłam o dokładkę! Natomiast co do medytacji – dzisiejszą, „Ku szczytom moralności,” przygotowała Agnieszka. Ona, jak wcześniej ja, cały dzień spędziła „na szpilkach”. Niemniej poradziła sobie bardzo dobrze. Zanotowałam kilka ważnych myśli, m.in.:

- „*Nikomu złem za zło nie oddawajcie, a dobro starajcie się czynić nie tylko przed Bogiem, ale i przed wszystkimi ludźmi.*
Sami sobie, najmiłsi, sprawiedliwości nie wymierzajcie.”
- „*Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj!*”
- „*Miłujcie waszych nieprzyjaciół, dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą (...)*
i módlcie się za nich.”
- „*Nie ma takiej krzywdy, której nie można by przebaczyć!*”
„Brak przebaczenia jest samoudręką, choć człowiekowi wydaje się, że jest wolny.”

W krótkich ogłoszeniach po kolacji, Ksiądz przedstawił nam plan działania na dzień następny.

Dzisiaj przejechaliśmy 53km, jutro miało być więcej. Z tego powodu pobudka została zarządzona na ... 6:30, bez prawa odwołania od wyroku. Nasz Kochany Ksiądz, w trosce o to, byśmy wszyscy z jutrzejszego dnia mogli skorzystać maksymalnie, postanowił osobiście dopilnować, by cisza nocna przypominała tradycyjną ciszę nocną. Innowacje w tej kwestii nie były przewidziane, czyli podczas ciszy nocnej ma być nic nie słychać, ewentualnie przelatującą muchę, albo szczękające zębami komary. Żadnych ludzkich odgłosów! Wszelkie światła miały pogasnąć punktualnie o 23:30. Chcąc nie chcąc – wszyscy się podporządkowali!

I tak minął poniedziałek – DZIEŃ TRZECI.

WTOREK - 3 lipca

Słowo się rzekło, kości zostały rzucone itp., w każdym razie pobudka nastąpiła o 6:30! Nie było ratunku - musieliśmy być wyspani...

Ranny porządek przedstawiał się następująco: Msza Święta – 7:30 (oczywiście przygotowana przez nas pełna oprawa liturgiczna, łącznie z profesjonalną posługą muzyczną, w końcu mieliśmy w swoim składzie dwóch uzdolnionych chórzystów – Pawła oraz Krzyśka), śniadanie i rozważania. Dzisiaj prowadził je Paweł. A zastanawialiśmy się na „Losem Chrystusa w ludzkich rękach”. Podobały mi się słowa:

- „Człowiek ujawnia swoją osobowość w sposobie traktowania bliźnich.”
- „Właściwe rozpoznanie człowieka i siebie samego jest możliwe dopiero przez kontakt z otoczeniem.”
- „Męka Chrystusa jest bardziej potrzebna ludziom, niż Bogu. Chrystus chce nam pokazać na Sobie, jak trzeba to wszystko znosić.”
- „To, co robimy innym ludziom, robimy samemu Chrystusowi.”!

Mieliśmy przed sobą długi dzień. Ksiądz zaplanował na dzisiaj rozkoszowanie się pięknem przyrody w Poleskim Parku Narodowym. Na dworze było strasznie duszno. Dojechaliśmy bez problemów do miejsca przeznaczenia, czyli szkoły pełniącej funkcję muzeum przy parku narodowym. Miejscowość, w której się znajdowaliśmy, nosiła nazwę Załucze Stare. Gdy weszliśmy do szkoły, od razu rzuciły nam się w oczy piękne duże fotografie roślinek i zwierzątek żyjących w Poleskim Parku. Naprawdę była na co popatrzeć!

Powitał nas miły pan w średnim wieku i od razu wybił nam z głowy zrywanie czegokolwiek oraz unicestwianie jakichkolwiek żyjątek na terenie parku. Zabronił nawet zabijać potwornie kłujących komarów, a raczej komarzyc. Owady, jakby słysząc te słowa rozbestwiły się okropnie w mniemaniu, że nic im nie grozi, ale wystarczyło, by pan się odwrócił, a następowały ledwo dostyszalne kłapięcia i poląła się komarza krew! Przy pracownikach parku praktyki takie odbywały się w idealnej konspiracji. Jednak, gdy znaleźliśmy się zupełnie sami na otwartej przestrzeni, nikt nikomu na ręce nie patrzył, więc następowała jawna zagłada tego, co byczyło natrętnie, czepiając się uszu, nosa oczu i innych części ciała.

Zanim jednak udaliśmy się na łono natury, pan „przewodnik” otworzył nam drugie drzwi na prawo. Weszliśmy do bardzo sympatycznej sali przypominającej klasę. Jak się okazało – rzeczywiście wcześniej to pomieszczenie spełniało funkcję klasy. Nie ma co ukrywać, byliśmy zmęczeni, a pogoda działała na organizmy raczej niekorzystnie. Usiedliśmy w rzędzie ławek. Okazały się niezwykle wygodne. Boazeria na ścianach, zasłonięte okna nasunęły na myśl sypialnię. Powieki stały się ciężkie, bardzo ciężkie, całe oblane potem ciało stało się ciężkie. Podniesienie ręki lub nogi wymagało herkulesowego wysiłku. Głowa przekręcała się raz na jedną, raz na drugą stronę. Cały umysł wypełniło tylko jedno pragnienie: spać, spać, choć na chwilę zasnąć, zamknąć oczy, spać, spać... a ławka była taka wygodna... Wszedł tryskający energią pan przewodnik. Zostaliśmy na chwilę oderwani od wspaniałych marzeń. Pan włączył umieszczony pod sufitem telewizor i zapowiedział 27-minutowy film przyrodniczy Jerzego Walencika. Wychodząc rzucił nam jeszcze promienny uśmiech. Odśmiechnęliśmy się (niemrawo), by grzeczności stało się zadość. Nasze ciała siedziały w pewnej przytulnej klasie (przypomniała mi się zerówka – tylko tam były przytulne klasy...), ale myśli krążyły zupełnie gdzie indziej, wokół jakiegoś ogromnego, wygodnego łoża usłanego jedwabną pościelą, pod tiulowym baldachimem...złote gwiazdy, księżyc...powieki stawały się coraz cięższe... „Poleski Park Narodowy jest parkiem bagienno – torfowiskowym, jednym z trzech w naszym kraju o takim charakterze...”, no tak,

film, trzeba było sprowadzić myśli do przytulnej klasy. Wygodnie „chlapnięci” na ławkach próbowaliśmy pojąć, co czarna skrzynka pod sufitem do nas emituje.

Najpierw zrozumiałam, że ów Park Poleski bywa nazywany „perłą geobotaniczną” oraz, że kiedyś panoszyła się tu tundra i lasotundra, jak w Laponii. Czarna skrzynka wymieniła kilka charakterystycznych nazw roślin i zwierząt, np. brzoza niska, wierzba lapońska (tutaj wzmianka o kutnerze na liściach, jako przystosowaniu do chłodnego klimatu), storczyki, bagnica torfowiskowa, rosiczka (pożerające owady), dziewięciornik błotny, żuraw, czapla siwa, żółw błotny i łoś. Potem wyjaśniła jeszcze proces powstawania torfu oraz sposób pożerania owadów przez rosiczki (w tajemnicy zdradę, że wszystko odbywa się dzięki śluzowi, który rozpuszcza białko, a trawieniem i wchłanianiem produktów rozkładu zajmuje się liść). Nie ukrywam, że podarowałam sobie mniej atrakcyjne fragmenty i uciełam po kryjomu krótką drzemkę...

Po zakończeniu filmu ponownie spotkaliśmy się z panem przewodnikiem. Dodał on kilka słów od siebie w ramach komentarza do filmu, a następnie zaprowadził nas do części muzealnej. Tam mogliśmy podziwiać cały szereg wypchanych zwierzątek, za szybami w gablotach, od dzików aż po chomiki. Pan przewodnik błyskotliwie zauważył, że dzik przebywając z człowiekiem został świnią... Ze szczególnym zainteresowaniem przyglądaliśmy się ptakom: orłom, sokołom, krukom, puchaczom, puszczykom, sowom oraz wielu innym. Mieliśmy na czym oko zawiesić, więc staraliśmy się pokonywać zmęczenie i podnosić opadające powieki. Po dwóch pomieszczeniach z okazami fauny przeszliśmy do wnętrza wystylizowanego na dawną chatę wiejską. Czegoż to tam nie było! Ogromny piec, skrzynia posagowa, trzy rodzaje kołysek (łącznie z tą do umieszczania pod sufitem), ludowe stroje z charakterystycznymi pereborami (obszycia na rękawach), rozmaite wagi, przebojowa pralka typu „jedno we wszystkim” (nie mylić ze „wszystko w jednym”), żelazko na węgiel i żelazko „z duszą”, drewniane kapcie przeciw płaskostopiu oraz mnóstwo innych ciekawych sprzętów. Spodobały nam się duże grzebienie wiszące na ścianie wprost od wejścia choć pan przewodnik uparcie twierdził że są to dawne specjalne grabie... Zaś pęk ziół w lewym kącie określił jako „lekarstwo na teściową”. Lekarstwo to, czyli ciemniżyca zielona, okazało się być najbardziej toksyczną rośliną, jaką można tu spotkać. Podobno napar z niej podany w postaci niewinnej herbatki, znakomicie łagodził stosunki międzyludzkie. Choć sposób wydawał się bajecznie prosty, mimo wszystko postanowiliśmy jednak w przyszłości uciekać się do mniej radykalnych rozwiązań.

Pan przewodnik opowiedział nam o sytuacji na ziemiach Polesia za czasów Mieszka I (Polanie i Grody Czerwieńskie...), następnie przeszedł do powstania styczniowego, mówił o kolonizacji tych ziem przez Niemców do wybuchu II wojny światowej. Dowiedzieliśmy się, że w okresie owej wojny teren ten był wygodnym zapleczem dla wielu oddziałów partyzanckich, głównie Armii Krajowej. Obozowały tu oddziały por. Nikodema Krzyżanowskiego, por. Kowalskiego i por. Jana Kota. Miejscowi Niemcy raczej stali na uboczu i w końcu 1942 roku sami wyprowadzili się do Rzeszy. Podobno partyzantka tutaj nie ustąpiła z końcem wojny, ale trwała aż do roku 1951!

W gablotkach na korytarzu znalazły się ciekawe eksponaty, jak chociażby kolekcja monet i banknotów z okresu zaborów czy dowód tożsamości... konia! Tuż obok gablotek wisiała wielka mapa Poleskiego Parku Narodowego z zaznaczonymi rezerwatami i ścieżkami przyrodniczymi. Obecnie istnieją rezerwaty: „Durne bagno”, „Jezioro Moszne”, „Jezioro Długie”, „Torfowisko Orłowskie” oraz „Bagno Bubnów”. Jak nietrudno przewidzieć, ogromnie zaintrygowało nas Durne Bagno. Otóż nazwa wzięła się stąd, że w pobliżu tego bagna rosły rośliny halucynogenne i ludzie przebywający tam przez dłuższy czas wracali do domów w nieco odmiennym stanie niż z nich wychodzili... Swoją drogą ciekawe, jak zachowywali się po takiej dawce ...

Tajemnicze błyski w oczach wskazywały na to, że my też chcieliśmy pojechać w okolice przemiłego bagienka, ale nikt nie ośmielił się tego głośno wypowiedzieć. Trochę żalowaliśmy, bo zawsze taka mała halucynacja mogła być niezapomnianym doświadczeniem...

Życie jest sztuką wyboru i nie można mieć wszystkiego, a poza tym lepiej być świadomym rzeczywistości, niż ulegać złudzeniom. Pożegnaliśmy więc widmo halucynacji wybierając ścieżkę przyrodniczą „Spławy”.

Ksiądz rozdał nam małe kartoniki z fragmentem jakiegoś pejzażu. Na zielonym pasku wzdłuż lewego brzegu widniał napis: KATRA WSTĘPU NA ŚCIEŻKI PRZYRODNICZE, zaś z prawej strony, u dołu umieszczono sylwetkę żurawia (herb PPN). Na odwrocie biletu znalazłam ciekawą informację: „Poleski Park Narodowy utworzony został na mocy rozporządzenia Rady Ministrów z dniem 1 maja 1990 roku na obszarze 4813 ha. Obecnie zajmuje on obszar 9647,73 ha. Najważniejszym elementem przyrody parku są tereny podmokłe, torfowiska, bagna i wody. Mozaikowy układ zbiorowisk roślinnych sprawia, że występuje tu wiele osobliwych interesujących gatunków roślin i zwierząt.” Zapowiadało to nasze zwiedzanie całkiem nieźle. Szybko pożegnaliśmy się z miłym panem przewodnikiem. Na koniec powiedział on rzuciwszy figlarne spojrzenie : „pamiętajcie, że : chodzenie po bagnach wciąga...!!!”(?). Rozbawieni ruszyliśmy w nieznaną stronę, z Księdzem na przedzie, małym przewodnikiem (dydaktycznym) pod pachą i aparatem fotograficznym w plecaku.

Było duszno. Rozdzieliliśmy się na mniejsze grupki, by nie robić zbytniego hałasu. Teorię wpajaną nam cierpliwie przez całe przedpołudnie w Ośrodku Dydaktyczno-Muzealnym, mieliśmy za sobą. Teraz zaczęła się praktyka.

Mijaliśmy łąki kośne emanujące przyjemną wonią świeżutkiego siana. Wiatr delikatnie kołysał trawę, a wraz z nią drobne polne kwiatki. Nieco dalej widniał intensywnie zielony, potężny las. Spacer okazywał się samą przyjemnością. Idąc dalej natrafiliśmy na zarośla łożowe w sąsiedztwie olsów, powstałe przez zarastanie podmokłych łąk. Pojawiało się sporo owadów należących do muchówek. Jednocześnie przekroczyliśmy granicę parku. Weszliśmy na specjalną kładkę wspartą na mocnych drewnianych groblach, by uchronić się przed mimowolnym podmoknięciem (o zamoknięciu nie wspomnę...). Kładka ciągnęła się na szczęście do końca ścieżki, więc zostały na nas suche nitki. Po lewej stronie mieliśmy nadal użytkowane łąki kośne, zaś po prawej – zazwyczaj podmokłe łąki turzycowe zwane turzycowiskami. Stąd kładka zaprowadziła nas w bagienny las mieszany, czyli brzezinę bagienną. W obawie przed inwazją komarów naciągnęliśmy na głowy kogoś co miał i zabezpieczyliśmy wcześniej odsłonięte części ciała.

Staraliśmy się zachowywać cicho, by słyszeć głos przyrody, ale towarzystwo przyjaciół wymagało poświęcenia im też czasu i nawiązania konwersacji, zresztą co tu dużo mówić – sprawiało nam to wiele przyjemności. Może przez to nie dostrzegliśmy wszystkich tutejszych cudów natury, nie wgłębialiśmy się we wnikliwie studia fauny i flory, jednak, przynajmniej ja tego nie żałuję. Rzadko zdarza się, że wszyscy ludzie dookoła są przychylnie nastawieni i można z nimi rozmawiać jak z przyjaciółmi. A tym razem właśnie tak było!!! Oczywiście musieliśmy jeszcze wiele się nauczyć, żeby było idealnie...

Obserwowaliśmy zjawiska wokół nas, okiem amatora, usilnie szukając w pamięci, co na ten temat mówiła czarna skrzynka w muzeum, pan przewodnik, Ksiądz przy wcześniejszych okazjach i profesor na biologii. Z tych wszystkich źródeł razem, trochę informacji się nabierało. Czytaliśmy tabliczki informacyjne (czasami nawet w całości!) Mimo wszystko, byliśmy żądni wiedzy i chcieliśmy jak najwięcej skorzystać, zwłaszcza, że to, co oglądaliśmy, było naprawdę interesujące!

Z lasu, po przejściu przez kawałek zarośli łożowych, wyszliśmy na bardziej otwartą przestrzeń. Zajmuje ją torfowisko przejściowe, tzw. spleja, przez okoliczną ludność

nazywana splawami. „Splawy” są zarośniętym fragmentem dawnej zatoki Jeziora Łukie. Torfowisko, na którym się znajdowaliśmy jest stale podmokłe. Na powierzchni wody utrzymuje się kozuch roślinności, który z łatwością ugina się pod ciężarem człowieka. Wśród turzyc rosła brzoza niska.

Mieliśmy tutaj okazję zbadać głębokość bagna. Pracownicy parku zostawili specjalne urządzenie do tego celu dla szczególnie dociekliwych, przy czym kładka w tym miejscu była bardzo szeroka (zapewne dla komfortu przeprowadzających badania głębokości) My naturalnie należeliśmy do szczególnie, żeby nie powiedzieć – wybitnie, dociekliwych, więc to specjalistyczne urządzenie od razu znalazło się w naszych rękach. Przyrząd doświadczalny miał postać bardzo bardzo długiego, solidnego, drewnianego kijka. Kijek znajdował się w bagnistej dziurze. Każdy zainteresowany winien był podejść na odpowiednią odległość (żeby dosięgnąć kijka i jednocześnie nie spaść z kładki), uchwycić mocno kijek, najlepiej obiema rękami, a następnie wydobywać go powoli ruchem pionowym (później nieco ukośnym), w górę. Naturalnie badanie groziło zabrudzeniem rąk i odzieży błotem. Cóż poradzić – nauka zawsze wymagała poświęceń. Po wyciągnięciu kijka należało profesjonalną miarką, jaką każdy miał w swoim oku ustalić długość, na jakiej błoto przytwierdziło się do kijka. Na tej podstawie można było zorientować się mniej więcej na czym się stoi (pomijając kładkę), lub gdzie przypuszczalnie znalazłyby się nasze ciała, gdybyśmy całą grupą weszli na teren tego bagna. Zawsze miałam trudności z szacowaniem. Powiem więc tylko, że długość kijka z błotem zrobiła na mnie ogromne wrażenie i jeśli kiedyś chciałam stanąć sobie na bagnie to już mi się zupełnie (no, prawie zupełnie) odechciało...

Zrobiliśmy zdjęcia, bo miejsce wydawało się tego godne i nogi poniosły nas dalej. Po drodze niektórzy mieli szczęście zaobserwować całe stada malutkich jaszczurek szarżujących po kładce.

Kończyny dolne zaniósł nas do kolejnego lasu bagiennego, tym razem był to ols (zwany olszyną bagienną). Panowała tu olsza czarna, miejscami ustępująca pojedynczym brzozom i wierzbom szarym. Warstwa runa była bardzo bujna i zróżnicowana.

Do dziś stoi mi w oczach obraz, kiedy to szliśmy kładką, a po bokach widzieliśmy wodę stojącą wyraźnie na powierzchni gruntu. Zaś z wody tej wylaniały się ogromne kępy turzycy długokłosowej, paproć narecznica błotna, kaczyńce, wielkie pokrzywy, chmiel. Potężny, zalany las którego mieszkańcy radzili sobie w takich warunkach doskonale i nie tknęła niczego niszczyielska ręka człowieka. „Wodny las” wyglądał niezwykle, a zarazem prześlicznie. Zostałam urzeczona tajemniczym klimatem tego miejsca. Było w nim coś specjalnego, nieuchwytnego nadającego atmosferę niepowtarzalności (tak samo czułam się na plebani w Dębowej Kłodzie...). Moje świetne samopoczucie było jednak nie tylko zasługą miejsca, ale również wspaniałych osób, które wraz ze mną raczyły się urokami Poleskiego Parku. W moim odbiorze przyrody odegrali oni bardzo ważną rolę. Nie zapomnę tego...

Po pewnym czasie naszej wędrówki liczne kępy turzycy przerodziły się w niemal jednogatunkowy ciąg szuwaru złożonego ze skrzypu błotnego. Skrzypy wyglądały zupełnie jak miniaturka lasu karbońskiego! Oddychając prehistorią znaleźliśmy się bardzo szybko na końcu kładki, skąd był doskonały widok na zarastające Jezioro Łukie.

Szłam jako jedna z ostatnich osób tak, że obserwowałam jezioro prawie zupełnie sama, inni już odpoczywali w specjalnie do tego wyznaczonym miejscu. Patrzyłam na wodę w której odbijało się słońce mające po południu charakterystyczny, bardziej nasycony odcień. Bardzo dobrze czułam, jak padają na mnie gorące promienie... Kładka przebijała się przez pasmo gęstych kęp turzyc, by zaprowadzić w rezultacie w głąb jeziora nad przepięknie kwitnącego żółtymi kwiatkami starca bagiennego. Było go tam mnóstwo! Usiadłam na drewnianych deseczkach, tworzących jakby taras, stopami próbując dotknąć toni wodnej zazielenionej rzęsą trójkową i żółtych kwiatków. Co chwila dawało się zauważyć różne ciekawe gatunki żabek i ogromne niebieskie ważki. Czułam się doskonale i chciałam pozostać tam jak

najdłużej, a na pewno do samej nocy...

Wracaliśmy niechętnie. Aż żal było opuszczać takie miejsca. W zółwym tempie opuszczaliśmy granice PPN z nadzieją, że jeszcze kiedyś dane nam będzie znów tu trafić. Szczerze sobie tego życzyłam. Nie trzeba wyjeżdżać za granicę, by przeżyć niezapomniane chwile. A łono natury doskonale się do tego nadaje, zwłaszcza tu, na Polesiu (choć pewnie są i inne równie godne poznania tereny, ale ten przynajmniej już znamy).

Zanim dostaliśmy się do pozostawionych na prywatnej posesji rowerów musieliśmy pokonać pieszo spory kawałek piaszczystej dróżki w niesprzyjającym takim wyczynom upale. Oprócz upału zaś, we znaki dały się kochane owady zwane komarami. Zupełnie nie dało się z nimi dogadać. Były nadzwyczaj odporne i nie nadawały się do żadnych negocjacji. Wykazywały przy tym wyrozumiałość dla naszych zmordowanych ciał w stopniu zerowym. Działały z zaskoczenia nie troszcząc się o konsekwencje. Ich zgubą jednak były pojedyncze indywidualne ataki. Na własną rękę (odnoże) nic wielkiego nie potrafiły zdziałać. Wcześniej próbowaliśmy chronić się bez użycia siły, stosując środki tylko odstrasżające. Momentami nawet Ksiądz zachęcał nas, by pokochać kłujące stworzonka! Ale owady zdawały się nie doceniać naszych wysiłków. Posunęły się tak dalece w swojej ignorancji, że wywołały u większości niepohamowany przypływ insektoagresji i doprowadziły do ostateczności. Następowало jedno chlapnięcie za drugim a coś w środku krzychało: „idź na całość!!!”.

Wyczerpani walką z komarzycami oraz potwornym głodem (cały prowiant został przy rowerach, a rowery były jeszcze daleko...) wlekliśmy nogi za sobą. Gdyby tak choć jeden sklep... Ksiądz Jarek wraz z Diakonem Mateuszem starali się ratować sytuację i podbudowywać wątpiących na duchu. Po tylu kilometrach zrobionych na rowerze ta wędrówka nie była najszcześliwszym pomysłem, ale nie istniało inne wyjście. Dopiero doceniliśmy, jak dobrze mieć odpowiednio połączone dwa kółka i kierownicę.

Kiedy byliśmy już dawno za połową trasy do przejścia oczom naszym ukazał się najprawdziwszy wiejski sklep, w którym zakupiliśmy tak niecierpliwie oczekiwane napoje. Wystarczył większy łyk kolorowego płynu, by świat na nowo odzyskał swe piękne barwy, a życie przestało być jedynie ciężarem. Z zapalem dobrnęliśmy migiem do rowerów. Odjechaliśmy czym prędzej do miejsca, w którym można było spokojnie się najeść. Usiedliśmy tradycyjnie pod kościołem. Dopiero wtedy zorientowałam się, że jesteśmy w Woli Wereszczyńskiej.

Cała załoga zajęła stanowiska na kościelnych schodach, które jednocześnie posłużyły za stół kuchenny. Ksiądz wyciągnął, tym razem ze swojej przepastnej sakwy, trzy mięsne konserwy i dwa chleby ku ogólnej radości żołądków. Zabraliśmy się za robienie kanapek. Schodziły w zastraszającym tempie! Szczęśliwym trafem udało się wykorzystać konserwy tak, by starczyło na wszystkie kromki chleba, a jednocześnie, by każdy czuł się nasycony. Na schodach jadło się i odpoczywało bardzo wygodnie. Mogliśmy tu już nawet zasnąć i zostać. Gdy tak beztrosko rozmyślaliśmy, nawet przez myśl nam nie przeszło, że jakaś siła jest zdolna podnieść nas na nogi. A jednak. Nagle rozległ się głos komendy „na koń!” z lekko apodyktycznym odcieniem. Miało to być wezwanie bojowe pełniące funkcje tyrtejskie, ale Ksiądz też nie znajdował się w pełni sił, więc tym razem było ledwo dosłyszalne, aczkolwiek nikt nie śmiał odmówić wykonania rozkazu. Owa komenda tak przypadła naszemu Księdzu do gustu, że nie miało znaczenia, czy idziemy pieszo, czy jedziemy rowerem. Zawsze jest to jakiś rodzaj konia. Pewnie, gdy w przyszłości będziemy pływać jachtem, czy latać balonem, też przed startem usłyszymy: „na koń!”! Oczywiście nie mam nic przeciwko temu. Zauważam tylko, że zaczynamy mieć pewien swoisty styl we wszystkim, co razem z Księdzem robimy.

Choć byliśmy gotowi ostatecznie wsiąść na dwukołowe rumaki, na myśl o dłuższej trasie wiotczały mięśnie, a serce wolniej biło. Niestety, w tym momencie „wypnęło się” Księdzu, iż czeka nas przeprawa pod górkę, i to nie jedną. Nie wiedzieliśmy, co począć

z tą niefortunną informacją. Początkowo postanowiłam udać, że nic takiego nie słyszałam i całkowicie ją zignorować ale w końcu zdecydowałam się stawić czoła wyzwaniu. Nie wiem jak inni do tego podeszli. Faktem jest, że wszyscy wróciliśmy do Dębowej Kłody. Wzajemna pomoc kwitła. Paweł, Bartek i Krzysiek holowali kogo trzeba co jakiś czas. Hubert z Piotrkim czuwali nad bezpieczeństwem całości. Ksiądz starał się nas nie pogubić i wspierał dobrym słowem.

Dobrnęliśmy, ale przedtem musieliśmy uporać się z pewną niespodzianką. Jechałam na końcu, rozmawiając z Krzyśkiem, gdy on nagle zauważył nieobecność męskiej części rowerowej załogi. Wstąpiliśmy nad Białkę. Tam jeszcze pokazaliśmy się w komplecie. W drodze powrotnej jednak zaczęło brakować kilku osób. Krzysiek zawrócił, by sprawdzić, co się działo. Niestety pech upodobał sobie Michała – pękła mu ośka w rowerze. Absolutnie nie mógł dalej jechać. Chłopcy zostali przy nim i próbowali początkowo radzić sobie sami, zaangażowali nawet przypadkowego motocyklistę do przekazania nam informacji o tej niefortunnej sytuacji, ale zanim pojawił się motor, swoje odczekaliśmy zaniepokojeni i w lekkim podenerwowaniu...

Niemniej dzień ten zapisał się w mojej pamięci jako wybitnie kryzysowy. Po dojechaniu na miejsce duża część naszej ekipy wyrzuciła wprost w różnych okolicznościach, co jej leży na sercu.

Zjedliśmy z zapalem kolację, przetrwaliśmy jakoś kilometrowe kolejki do łazienki i udaliśmy się na medytację. Swoje przemyślenia na temat „Kuszenia w Niedzielę Palmową” prezentowała dziś Kasia. Pamiętam, jak któreś nocy pracowała do późna nad swoim wystąpieniem. Ona również bardzo przeżywała to, co miała zrobić dzisiejszego wieczoru. Jeszcze przed medytacją miałam okazję przeczytać materiały Kasi. Prymas Wyszyński przestrzegał w nich przed pokusą łatwego sukcesu. Ukazał zagrożenie obsesyjnego pragnienia sławy, bycia w centrum w świetle reflektorów sal konferencyjnych i kamer, zrezygnowania z prawdziwych wartości na rzecz zdobycia popularności, bogactwa, władzy. Zachęcał nas do wytrwałego wybierania trudniejszej, ale bardziej wartościowej drogi. Każdy człowiek ma wypełnić swoje zadanie, tylko dzięki temu będzie prawdziwie szczęśliwy. Misją każdego zaś jest przybliżyć siebie i innych do Boga. I żeby tego dokonać, trzeba odrzucić różne pokusy, a zwłaszcza pokusę porzucenia wymagającego celu.

Medytację uzupełniliśmy spontaniczną modlitwą. Wypowiadaliśmy głośno, z zamkniętymi oczami słowa modlitwy, które pojawiły się w naszych umysłach. Każdy osobno. Najpierw dziękowaliśmy Panu za Jego miłość, za przeżyty dzień, za siebie wzajemnie, za kochanych rodziców, otrzymane zdolności itd., potem prosiliśmy Go w różnych intencjach nurtujących serca a na końcu – przepraszaliśmy za to wszystko, co w naszym życiu i na całym świecie było niewłaściwe. Taka forma modlitwy przynosiła ulgę duszy i ogromną radość. Sprawiała, że człowiek zyskiwał potężną motywację do działania i nie przytłaczały go życiowe komplikacje. Trzeba było tylko przełamać się i przed wszystkimi wypowiedzieć to, co się naprawdę myśli. Początkowo nie było łatwo ubrać swoje pragnienia w odpowiednie słowa i je przedstawić. Ale, gdy przestawała się liczyć obecność kolegów i nikt nikogo za wypowiedzi nie oceniał, byliśmy coraz bardziej otwarci. Bóg był nam coraz bliższy. Działo się wtedy coś niezwykłego i niepowtarzalnego... a co najważniejsze – to nie była żadna baśń, uczestniczyliśmy w tym naprawdę. Każdą cząstką swego ciała, całym sercem i umysłem.

Okolo 23:00 zmęczenie zupełnie nam odeszło i niemożliwie ciężko było się zmusić do spania. Ale przynajmniej mieliśmy świetny materiał na kolorowe sny. Tak na marginesie – nie ma to, jak poczucie dobrze wykorzystanego dnia! Daje ono niezastąpiony komfort psychiczny. Zapewniam, że gra jest warta świeczki!!!

I tak minął wtorek – DZIEŃ CZWARTY.

ŚRODA - 4 lipca

Środek tygodnia upłynął pod znakiem wodnych perypetii. Czekały nas prawdziwie emocjonujące przygody, które z pewnością na długo zapadną mi w pamięci...

Po kryzysowym wtorku Ksiądz zarządził 24 godziny odpoczynku, byśmy nie wykończyli się doszczętnie, zanim nadejdzie 9 lipca (a wraz z nim koniec obozu). Najlepszą rekreacją była rzecz jasna sielanka nadjeziorna, co Ksiądz doskonale rozumiał... Sam nam zresztą już od soboty obiecywał poświęcić co najmniej jeden dzień na harce wodne. Obietnicy dotrzymał. Wybuchła niemal euforia wszechobecnej radości!!! Nie mogłam doczekać się chwili, gdy wparuję z impetem do krystalicznie zzieleniałej wody. Właściwie jakość substancji znajdowała się na drugim miejscu. Najważniejsze, że będzie to najprawdziwsza mokra woda w zadowalających ilościach. Miałam już dosyć skrępowania energii w wannie, a na basen nigdy nie było czasu.

Tymczasem mogliśmy dłużej niż zwykle pospać. Nie pamiętam już, czy medytacja była rano, a Msza Św. wieczorem, czy też odwrotnie, lub obie wystąpiły razem o jednej porze. Chyba wszystko miało miejsce wieczorem, bo teraz Ksiądz musiał pojechać z Michałem do Parczewa dokupić odpowiednie części, by ten mógł dalej jeździć na swym rumaku z pedałami. Tak, to będzie najbardziej prawdopodobna ewentualność.

Wypoczęliśmy przybierając różne pozycje na materacach. Potem zaś (po śniadaniu) doprowadziliśmy nasze mieszkanko do względnego porządku. Wszyscy gdzieś się porozchodzili. Oblegli wszelkie najmiłsze miejsca w okolicy, a więc brązową ławeczkę przed plebanią, białe krzeselka pod zielonym daszkiem, wyszli raczyć się spacerem a jednocześnie przy tej okazji – zrobić odpowiednie zakupy. Atmosfera rozluźniła się nieco. Nikim jednak nuda nie owładnęła. I tak było co robić. Niezmordowany Krzysiek starał się naprawić rozmaite usterki w naszych sprzętach jeżdżących.

Dzisiaj miał dołączyć do nas pan Stefan, w którym Ksiądz upatrywał ostatnią deskę ratunku w razie jakiegoś rowerowego nieszczęścia na większą skalę. Ale Pan Stefan nie mógł przyjechać. Nie przyjechała również, oczekiwana wczoraj, nasza kochana pani Dyrektor. W dodatku jutro odjeżdżał Diakon Mateusz oraz Bartek! Szok!! Wyglądało na to, że będziemy musieli radzić sobie sami !!! Co prawda do absolutnego załamania było nam jeszcze daleko, ale zawsze im więcej bratnich dusz, tym lepiej...Staraliśmy się nie zadrezczać problemami i , póki co, korzystać ze słońca. Rower pirata Michała udało się doprowadzić do jeżdżącego stanu, więc ile sił w nogach popedałowaliśmy do Białki.

Większa część ekipy żeńskiej cały swój bagaż umieściła w koszyku Natalki. Woziła ona go nieustannie przy bagażniku i zawsze komuś na coś się taki pojemnik przydawał. W każdym razie nie widywałam go pustego w czasie jazdy. Czasami ktoś dziewczynę odciążał przewieszając koszyk do siebie, jednak przeważnie Natalka wołała borykać się z nim sama.

Ja za to wzięłam ogromny plecak wypchany m.in. dwoma rękami, jedzeniem i ubraniami na zmianę, bo strój kąpielowy już miałam na sobie. Nie mam pojęcia, co mnie natchnęło do zabrania tych ubrań (przecież panował ogromny upał, więc strój i tak błyskawicznie mógł wyschnąć...), ale przyszłość pokazała, że akurat ta decyzja okazała się jedną z tych przypadkowych, dzięki którym można przetrwać kryzysowe sytuacje (!). Szkoda tylko, że w tym całym moim geniuszu kryzysowym nie upchnęłam do plecaka przeciwdeszczowej kurtki! Byłoby to wbrew temu, co zapowiadał błękit niebios, ale nigdy nic nie wiadomo...

Kiedy jednak pędziliśmy do Białki wydawało się nam, że będzie długie upalne popołudnie i nieskażone chmurami niebo. Czas dojazdu minął mi błyskawicznie. A to za sprawą Diakona Mateusza z którym, wraz z Agnieszką, prowadziłyśmy zajmującą wymianę zdań. Diakon zwrócił nam uwagę na kilka arcyciekawych problemów, nad którymi warto się było zastanowić. W taki oto niebanalny sposób dojechaliśmy na miejsce.

Plaża gościła umiarkowaną ilość kąpielowiczów, toteż starczyło miejsca i dla nas. Stacjonowaliśmy w pobliżu kiosku spożywczego oraz rybnego baru. Swoje rowery zostawiliśmy pod drzewami w bliskim sąsiedztwie jeziora. Ksiądz ofiarował się dla sprawy i obiecał pilnować naszych sprzętów zajmując koło nich własne stanowisko plażowe. Wszyscy pozostali, choć nie od razu, wybrali bardziej naświetlone pozycje – na molo. Ksiądz i tak miał nas w zasięgu wzroku (a my Księdza...). Upewniwszy się, czy wszyscy wszystkich widzą, wystawiliśmy się na działanie wody i promieni słonecznych.

Kasia stanowczo wyraziła chęć opalania się przez cały wolny czas i realizowała swoje zamierzenie konsekwentnie. Dla mnie natomiast owo opalanie bardziej kojarzyło się z opiekaniem i przysmażaniem, a dodatkowo leżenie plackiem na twardym drewnie bardziej przypominało formę ascezy, niż rozrywki. Dlatego zrobiłam, co mogłam, by jak najszybciej wskoczyć do upragnionej wody. Jedno zdecydowane zanurzenie i po krzyku. Mogłam już cieszyć się urokami jeziora do woli. Przypadły mi do gustu zwłaszcza panoszące się wszędzie wodorosty, które oderwane od dna, przyływały ze środka zbiornika i dryfowały sobie bez skrpułów po strzeżonym kąpielisku (na nim właśnie się znajdowaliśmy). Wspaniale zdołały one głowy wynurzającym się pływakom, niczym wieńce laurowe wybitnym osobistościom starożytnego Rzymu. Nieźle prezentowały się również jako ekologiczne naszyjniki... Zależy, co kto lubi!

Czy umiałam pływać? Trudno określić. Potrafiłam, co prawda, przebyć odległość kilkudziesięciu metrów na spokojnej wodzie bez interwencji ratownika, ale tylko na plecach... Wszelkie style typu żabka, piesek tudzież delfinek – były mi, pomimo usilnych starań, uparcie niedostępne. Tymczasem niezdarnie imitowałam pływających kraulem. Na szczęście nie tylko mi daleko było do profesjonalizmu w tej dziedzinie...

Nie długo pocieszyłam się wodnym spokojem. Nadciągnęła z impetem nasza męska brygada i od razu zaprowadziła swoje porządki. Ledwie zdążyliśmy się zorientować, a nasze obuwie zaczęło dryfować razem z glonami i niejeden ręcznik został wciągnięty przez wolne przestrzenie między deskami moła do otchłani! Naszym niezrównanym dowcipnisiom chyba nie zmieściła się w ich rozumkach informacja, że ręczniki (z reguły) służą do osuszania, a nie zwilżania mokrego ciała...

Próbowali przy tym „zachęcić” jak najwięcej osób do mokrego szaleństwa w jeziorze i to różnymi sposobami! Po prostu brali sprawy (i nie tylko sprawy...(?!)) w swoje ręce! Jednak nie wykazywali za daleko idącej bezwzględności (całe szczęście). Nawet zdarzało im się uszanowanie woli innej osoby.

Mimo niezliczonej ilości próśb, namów i zachęceń nie wszyscy zdecydowali się dziś zakosztować smaku zielonej kąpieli. Co wcale nie znaczy, że do końca pozostały na nich suche nitki...

Około godziny 14:30 Ksiądz zaoferował nam rowerową przejażdżkę, ale tym razem po wodzie. Wyrwałam do pierwszej tury. Każdy rower wodny mieścił trzy jednostki ludzkie: dwóch pedałuujących pasażerów, robiących jednocześnie za silniki, i kierowcę. W mojej załodze byłam, wraz z Kasią pedałuującym pasażerem, zaś w roli kierowcy wystąpił Diakon Mateusz. Autostradę mieliśmy wybitnie rozległą, trasę wytyczaliśmy sobie sami. Rower osiągał zawrotną prędkość, jeśli tylko pracowałyśmy mięśniami nóg równie zawrotnie... A nie było to wcale łatwe. Woda stawiała silny opór. Prawdę mówiąc dopiero wtedy poczułam rzeczywiście, ile mam tkanki mięśniowej i jakim stanie! Niedaleko nas sunął bocykl z Gosią, Natalką i Księdzem Jarkiem. Próbowaliśmy wzajemnie się wyprzedzać, co niemało kosztowało obie strony. Kiedy wysunęliśmy się na prowadzenie i przywitał nas środek jeziora, w jednej chwili niebo opanowały złowrogie ciemne chmury. Na pytanie, czy się boimy, bez namysłu odpowiedziałam przecząco. Przecież nie byłyśmy same. Przez chwilę łudziłam się, że zachmurzenie jest przejściowe. Diakon Mateusz prorokował deszcz, ale nie bardzo chciało mi się w to wierzyć! Mimo braku przekonania z mojej strony Diakon obrał

kierunek powrotny z okrzykiem: „dziewczyny! Zawracamy!!!” Rower początkowo obrócił się jedynie o 90 stopni i wykazywał nieodpartą chęć pozostania w tym ustawieniu. Pokażnym nakładem energii udało się jednak uzyskać jeszcze 90 stopni i już mogliśmy płynąć ku brzegowi. Wiatr dmuchnął mocniej. Słońce przez chwilę desperacko błysnęło i już nie było w stanie przedrzeć się przez szare kłębowisko na nieboskłonie. Skóra odczuła na sobie pojedyncze kropelki deszczu.

Wszystko wskazywało na to, że złapie nas mały sztormik. Częstotliwość spadania kropeł stale niepokojąco wzrastała z sekundy na sekundę. Wzrastała też ilość obrotów na minutę, pedałów pod naszymi stopami. Mimo to brzeg nadal był daleko...Wtem zdaliśmy sobie sprawę z tego, że wszystkie nasze rzeczy znajdują się na moło, czyli – wszystko moknie: plecaki, ręczniki, ubrania...!!! Błyskawicznie podniósł się poziom adrenaliny. Nie dość, że nas może zalać, to zalewa wszystko, co posiadamy! Przynajmniej złapaliśmy odpowiednią motywację. Odległość do brzegu znacznie zmalała, ale jeszcze pozostało jej sporo. Diakon Mateusz nominował mnie do funkcji kierownika, tzn. kierującego, zacisnął szczęki i wziął sprawy w swoje nogi. Popłynęliśmy jeszcze szybciej. Pojawiły się szanse na dogonienie załogi Księdza Jarka. Zawsze lubię mieć jakieś zajęcie, a że kurs zastał już wytyczony, i jako kierowca mogłam niewiele zdziałać – zajęłam się dopingiem. Burta roweru konkurencji była tuż tuż, jednak nie mogliśmy jej minąć. Tymczasem opady stawały się coraz bardziej intensywne. Nie stanowiły jednak dla nas większego zagrożenia. Mało prawdopodobne wydawało się wypełnienie pokładu wodą, a wiatr był nadal zbyt słaby, aby przewrócić

Duży parasol z reklamą lodów osłaniał solidny drewniany stolik i dwie ławki. Usadowiliśmy się wygodnie. Na ścisk weszło tyle osób, ile powinno. Wreszcie odetchnęliśmy z ulgą! Kichaliśmy na deszcz, teraz nic nie mógł nam zrobić. Zaczęło się osuszanie, choć właściwie nie bardzo było czym... Na szczęście miałam jako tako suchy ręcznik. Nie zdążył zmoknąć w zamkniętym plecaku ale pozostała na nim wilgoć po kąpieli w jeziorze. Stanowił więc marną pociechę, ale jednak zapewniał jakieś znikome ilości ciepła. Z braku innych sposobów rozgrzewaliśmy atmosferę małą dyskusją, ze stosunkowo dużym natężeniem monologowych partii Diakona Mateusza. Właściwie nie musieliśmy dużo mówić, wystarczyło, że byliśmy razem. Wybiła godzina, jak mawiał Diakon, Miłosierdzia, lub inaczej – Nowej Ewangelizacji (15:00).

Ci, którzy jeszcze nie pływali „rowerami” dostali szansę doznania czegoś nowego, ale mieli się nie oddalać. Ciągłe padało – wykapali się wszyscy! Natura nie dała nikomu szansy pozostania suchym. Dziś ociekał każdy bez wyjątku... przy tym rowery wodne okazały się prawdziwie wodne. Składały się już prawie z samej wody! Mimo to rowerzyści nie dawali za wygraną.

A my pod daszkiem, przeżywszy już swoje – odpoczywaliśmy racząc się strawą. Powoli dołączało do nas coraz więcej osób. Wyciągnęłam notatnik i uwieczniłam chwilę w kilku skromnych słowach. Oto fragment:

„Siedzimy pod daszkiem z logo koralu przed jakimś sklepem beztrąsco zapełniając żołądki kanapkami z pasztetem (kochane panie z kuchni dostarczyły nam suchy prowiant najlepszej jakości i świeżości). Wszyscy są w mokrych, ociekających strojach. Część ekipy jeszcze pływa, ale zaraz się chyba rozplynie... Ksiądz bacznie obserwuje rowerowych kamikadze [...]. Prawie wszystko jest mokre. Krzysiek właśnie prosi, aby o nim nie pisać (więc dobrze...)[...]. Kanapki ze świeżym chlebem znikają błyskawicznie! Ciągłe kropi i Agnieszce kapie na głowę. Kasia patrzy gdzieś z zainteresowaniem (zdaje się, że w kierunku kolorowego płotka ogradzającego sklep...). Właśnie zjawił się wyczerpany wyczynami na jeziorze Michał z resztą dziewczyn. Pokazał się również Piotrek, Paweł i Bartek.

Diakon Mateusz popatrzył na mnie i widząc moją (o zgrozo!) potarganą czuprynę (siadłam na ławeczce tak jak wyszłam z wody...) w panice poprosił o grzebień. Nie czekając długo przebrałam się w suche odzienie, o którego istnieniu nagle sobie

przypomniałam, oraz doprowadziłam czuprynę do porządku.

Przyznam, iż przed chwilą padało, jednak teraz to już dosłownie leje. Nasze rowery rozmiękają pod drzewem. Wszyscy amatorzy wodnych szaleństw zeszli (tzn. zbiegli) na brzeg. Tym razem nie ma żartów. W ogóle nie wyobrażam sobie powrotu. Przed chwilą zjedliśmy wszystkie ciastka, jakie kto miał, niczym ciasteczkowe potwory! Ktoś obok mnie stoi na zmoczonej kostce brukowej gołymi stopami. Zdaje się – Piotrek. Gęsia skórka na całym ciele, ale trzyma fason. Agnieszka i Kasia, rozpaczliwie poszukując ciepła, zakwaterowały się tymczasowo w restauracji rybnej. Obie w jednym płaszczu Diakona Mateusza.

Jedynymi wdziankami, jakie chłopcy posiadają, są kąpielówki i finezyjnie zarzucone na ramiona ręczniki![...] Michał ma ciało przysłonięte, w górnej partii, zieloną plaketką identyfikacyjną... nadal kapie deszcz.

Robi się coraz zimniej. Tym razem mamy namiastkę przeżyć pasażerów Titanica po wylądowaniu w lodowatym oceanie. Zapewniam – nie ma czego zazdrościć.

Z głośników płynie muzyka zespołu „Ich troje”, która nabiera coraz bardziej sentymentalnego charakteru. Podano do stołu gorącą herbatkę. Ach, jak przyjemnie...[...]

Kasia z Agnieszką drżąc kołyszą się w takt muzyki, robiąc dobre miny.

Nie ma to jak wakacje nad jeziorem!!!

Ksiądz wygląda na zadumanego, pewnie coś analizuje.

Złota myśli dzisiejszego dnia to

CZĘSTE MYCIE SKRACA ŻYCIE!!!

Komisja w składzie: Ksiądz Jarek, Diakon Mateusz i Krzysio zatwierdziła 4 lipca 2001 roku o godz. 16:10.

Powoli deszcz ustaje. Wczasowicze znowu zaczynają się kąpać. Wszystko wróciło do normy. Idziemy w stronę rowerów.”

Na dzisiaj wodnych atrakcji było aż nadto. Chcieliśmy już znaleźć się w Dębowej Kłodzie. Wyglądaliśmy zaiste, oryginalnie. Jedna wielka ociekająca grupa na siodelkach. Zwracał uwagę Piotrek, który z braku suchych szortów okręcił uda ręcznikiem imitującym szkocką spódnice! Ponadto jechał w tym niecodziennym wdzianku kolarskim na rowerze z ramą, całe szczęście osadzoną dość nisko... Droga mijała mi niezwykle szybko.

Po powrocie, gruntownemu wysuszeniu się i obfitej kolacji poddaliśmy się medytacji.

Kropką nad i dzisiejszych wrażeń było ognisko zorganizowane dzięki inicjatywie Księdza. Tuż za płotem strzegącym otoczenia plebani, w sąsiedztwie kilku drzew, poddawaliśmy się konsumpcji gorących kiełbasek. Kolejna już dziś kolacja obłana obficie pikantnym ketchupem była żołądkowi raczej nie na rękę, jednak nikt nie odmówił sobie owej rozkoszy podniebienia. Ciężkostrawne, aczkolwiek niecodzienne doznania kulinarne dopełnił pieczony w sercu ogniska chrupiący chleb (w skrajnych przypadkach skórka bywała wprost zwęglona...). Do pełni szczęścia brakowało już tylko odrobiny jakiegoś napoju, który pomógłby pozbyć się korka pieczonych cząstek w przewodzie pokarmowym. Na pomysł zrobienia dla wszystkich herbaty wpadliśmy niestety za późno.

Diakon Mateusz wraz z paniami Basią i Agatą tryskał energią i humorem. Co chwila starał się nas rozweselić. To pomagał Księdzu ustalić dla nas jadłospis awaryjny (na wypadek wyczerpania się wszystkich zapasów konserw i dżemów) przekonując, że najlepsze w takich sytuacjach są komary, które można przyrządzać na wiele sposobów (i oczywiście wymienił kilka!), a poza tym są bezpłatne ogólnodostępne w każdych ilościach oraz bardzo pożywne, bo zawierają cenne białko. To znów radził by jak najmniej czasu spędzać w naszej powszechnej sypialni a na noc otwierać okna, inaczej niechybnie grozi nam „zaczadzenie” dwupocianem skarpetu, który ulatnia się z obuwia (głównie męskiego, toteż ich strefa jest

najbardziej zagrożona...), itd., itp.

Jednak całkowite rozweselenie nas tamtego wieczoru należało do zadań praktycznie niewykonalnych.

Byliśmy zmęczeni, niektórzy nawet bardzo. Diakon Mateusz na próżno próbował wyzwolić w nas wigor muzyczny. Wytrwale szlifował paznokcie na strunach gitary, angażował swój wokal w najbardziej znane i porywające piosenki a z naszej strony odzew był znikomy. Jedyne usprawiedliwienie dla nas może stanowić fakt, iż śpiewało się strasznie ciężko, bo dym z ogniska podrażniał gardła a sadza ze skórek kiełbasy i chleba osadzała się na strunach głosowych. Ograniczyliśmy się tedy do intensywnych obserwacji gry płomieni. Było w tym coś magicznego, co niemal hipnotyzowało. Przez mózg przepływało mi wówczas tysiące refleksji, pytań, wątpliwości które jednakże dzielił od mego własnego ja pewien nieprzekraczalny dystans. Większość myśli przychodziła i odchodziła nie pozostawiając za sobą śladów. Nawiedziło mnie mnóstwo fundamentalnych życiowo przemyśleń, z których jednak niewiele przetrwało do rana... Ale ta chwila zatrzymania się, zadumy nad pewnymi sprawami, delectowanie się upajającym spokojem późnego wieczoru pośród wspaniałych ludzi, dobrze mi zrobiła. Kiedy na rozbrykaną młodzież przyjdzie czas głębokich rozmyślań, chyba żadna ziemską siłą nie jest w stanie jej z tego stanu wyrwać. Cóż, nie da się ludzi na siłę uszczęśliwić. Chcą sobie podumać – więc niech to robią. Ksiądz tak popatrzył kilka razy na nas i w słusznym mniemaniu, że ze śpiewania to dzisiaj nici, zwolnił oficjalnie Diakona Mateusza z posługi muzycznej prosząc równocześnie o kilka słów mowy pożegnalnej. Ognisko miało bowiem taki pożegnalny charakter (i stąd może ta smępna aura w naszych umysłach). Odjechać miał człowiek, którego nie chcieliśmy za nic wypuścić. I jak tu promienieć radością?!

Usłyszeliśmy o wspólnocie, przyjaźni oraz ogromnej sile i potrzebie modlitwy wzajemnej za siebie. Słuchałam z ciekawością tego, co mówił Diakon, a główne Jego przesłanie zostało we mnie już na zawsze.

Powspominaliśmy to, co udało nam się przeżyć razem. Mimo wszystko mieliśmy się z czego cieszyć! I choć do końca było refleksyjnie, to jednak nie przygnębiająco. Ognisko wprawdzie zgasło, ale promyczek nadziei, że wszystko co najlepsze dopiero przed nami, rozgrzewał serce coraz bardziej i bardziej...

Wszystkie myśli rozplynęły w ciepłym wewnętrznym świetle. Nad ciałem i umysłem zapanował spokojny upragniony sen.

I tak minęła środa – DZIEŃ PIĄTY.

CZWARTEK - 5 lipca

Być wyspanym! Oto szczyt naszych marzeń tego poranka. Niestety, marzeń absolutnie nie do zrealizowania! Musieliśmy wstać już o 6:30. W końcu miał dziś nastąpić najważniejszy i wywołujący najwięcej niepokoju (zwłaszcza w duszy Księdza) etap. Cel – Włodawa. Szacowana odległość – ok.100 km w obie strony. Zapał (w skali od 1 do 5) – raczej 5. Sprawność fizyczna (po zbyt krótkiej nocy)– 2 w porywach do 4. Zatem: prawdopodobieństwo powodzenia ekspedycji – oczywiście 100%! (innej możliwości nawet nie rozpatrywaliśmy...). Sytuacja przedstawiała się nienajgorzej. Byliśmy bardziej na plus niż minus. Przynajmniej chęci posiadaliśmy wystarczająco dużo.

Po Mszy Św. i śniadaniu pożegnaliśmy z ciężkim sercem Diakona Mateusza. Krótka wymiana słów wdzięczności, uśmiechów, potem gromkie „Sto lat” zaśpiewane na dwa głosy, ekspresowe wspólne zdjęcie i samochód wraz z Księdzem Proboszczem oraz Diakonem

Mateuszem zniknął nam z oczu. Na pamiątkę został ogrom miłych wspomnień. Nasz kochany Diakon należał do tych niezwykłych ludzi, którzy mają jasno określony życiowy cel a co więcej – wiedzą jak do niego dążyć. Pojawiają się nagle przynosząc mnóstwo dobra, ciepła, radości. Przekazują najlepszą część swojej wiedzy i znikają równie szybko, by dotrzeć do innych. Pozostawiają nas samych z tymi cennymi darami ufając, że zrobimy z nich jak najlepszy użytek.

Jednak było nas mniej już o dwie osoby, bo wraz ze wschodem słońca odjechał Bartek, by rozegrać mecz piłki nożnej. Wprawdzie zapowiedział, że wróci, ale najdłuższą trasę mieliśmy pokonać bez niego. Orzekliśmy zgodnie: szkoda.

Słońce zaczynało dawać się we znaki. Powietrze osiągało coraz wyższą temperaturę. Już mieliśmy wyjeżdżać, gdy Gosia oświadczyła, iż zupełnie nie jest w stanie poradzić sobie z własnym pedałem. Rzeczywiście ich konfiguracja była nad wyraz intrygująca i wprowadziła nas w powszechne rozbawienie. Ksiądz przykręcił jeden wcześniej obluźowany pedał tak, że oba znajdowały się w górze. Pewnie wpływ zmęczenia. Jazda rowerem z takim ustawieniem pedałów byłaby wyjątkowo męczącym doświadczeniem, o ile w ogóle byłoby to możliwe... Błyskawiczna korekta natury mechanicznej i z lekkim opóźnieniem wyjechaliśmy o 9:30.

Mijaliśmy m.in. Bednarzówkę, Lipówkę, całą serię Wyrków. W pałących promieniach bezwzględniego słońca dotarliśmy na odpoczynek przy wiejskim sklepiku. Będąc prawdopodobnie w stanie lekkiego udaru wykupiliśmy, bez mała, połowę wszystkich produktów. Przy tym najwięcej wynieśliśmy różnych napojów. Jak wtargnęliśmy kulturalnym szturmem do wnętrza małego pomieszczenia, tak mało kto chciał stamtąd wyjść. Słońca mieliśmy serdecznie dosyć. Nie mogłam sobie przypomnieć, jak się człowiek czuje, gdy jest mu zimno. Chłód stanowił wtedy coś czysto abstrakcyjnego.

Ale w grupie nie ma czasu na rozleniwienie. Świadomie czy nie, jeden drugiego mobilizował do działania. Ksiądz wykazywał godną pozazdroszczenia konsekwencję w dokonywaniu tego, co sam zaplanował więc niebawem ruszyliśmy dalej. Widmo dotarcia do Włodawy jawiło się jasno i przejrzyście.

Dodatkowo siodełka pozostawionych na słońcu rowerów, były na tyle gorące, że zapewniały turbo dopalanie...

Po dłuższym czasie pedałowania znów mogliśmy cieszyć się odpoczynkiem, tym razem w cieniu drzew. Mój notatnik na ten temat mówi tyle:

„12:03. Przed nami znak drogowy obwieszający– WŁODAWA 6. Ze wszystkich pot spływa strumieniami. Własną koszulkę mogę wyciskać. Stoimy w lasku. Ksiądz, przybrawszy odpowiednio inteligentny wyraz twarzy, studiuje swą niezawodną mapę. Dojechać – dojedziemy. Gorzej będzie z powrotem. Zwłaszcza, że w imię urozmaicenia, trasa nieco się wydłuży. Podobno do granicy polsko-białoruskiej jest 7 km. Tak przynajmniej twierdzi Krzysiek. Część grupy wyrusza na penetrację najbliższej okolicy. Wszystko, co można pić, jest właśnie wypijane. Jedziemy zobaczyć dworek Zamoyskich.

Oj raczej nie dojedziemy do tego dworku. Mały karambol pokrzyżował nasze plany. Kolorowy śliczny motylek tak zaabsorbował Martę, że poświęciła mu przez chwilę całą swą uwagę, zapominając o rowerze...Do obmycia krwawiących ran używamy wody mineralnej. Rower miłośniczki przyrody został uszkodzony, kolana Marty i Ani –napuchnięte i czerwone, wyglądają raczej nieciekawie. Czasami małe wdzięczne stworzonko może spowodować duży kłopot! Ciągłe się uczymy.

13:00 – jesteśmy we Włodawie!!! Cel osiągnięty, tylko pogratulować. Przejechaliśmy 45 km. Dziewczyny z pościeranymi kolanami trzymają się dzielnie. Ksiądz jest pełen dla nich podziwu. Przejechaliśmy przez miasto, a teraz odpoczywamy w kościele. Trzeba przeczekać deszcz. Patrzymy na spadającą z nieba wodę. Towarzystwo rozbawia Krzysio. Następuje zajmujące porównywanie odniesionych w stłuczce obrażeń. Ciągłe pada.

Godzina 14:00. Mieliśmy zwiedzać Włodawę, ale to chyba nie jest wolą nieba, bo deszcz ani myśli ustać. Uparcie moknąc chodziłyśmy po mieście, bo liczyłyśmy na nieprzemakalne kurtki. Nic z tego. Żywioł okazał się silniejszy.

Z braku innych interesujących zajęć siedzę wraz z Kasią w Urzędzie Skarbowym. Jest tu sucho i ciepło. Jakie to szczęście, że żyjemy w wolnym kraju i nikt nie ma prawa nas stąd wygnać! Miasteczko tonie we łzach nieba. Ustał wszelki ruch na ulicy. Ewentualni przechodnie to część naszej ekipy. Trochę szkoda, że nie da się pospacerować i zrobić zdjęć.”

Ostatecznie jednak Opatrzność zlitowała się nad młodymi duszami żądnymi krajoznawczych uciech. Wyrzało słońce. Jego światło odbijało się od warstwy wody pozostającej jeszcze na wszystkim dookoła. Odetchnęliśmy wszechobecną świeżością. Malownicze uliczki Włodawy (przypomniały mi się Wilno i Nowogródek...) doprowadziły nas do ścieżki wiodącej nad sam brzeg Bugu. Właśnie to zejście było naszym celem. Miejsce, w którym się znaleźliśmy, miał swój szczególny urok. Łagodny nurt rzeki porывał wszystkie myśli. Oko upajało się ogromem kojącej zieleni wszystkich roślin dookoła. Najpiękniejszy widok, którego centrum stanowił pochylony nad taflą wody pień potężnego drzewa, dołączył do grona fotografii z mojego aparatu. Wspaniale było by tam poznawać ballady romantyków! Przewyciężając opór duszy wołającej „zostań!” rozkazałam nogom zanieść mnie z powrotem w pobliże kościoła. Dyscyplina obowiązuje wszystkich. Przecież musieliśmy wrócić do Dębowej Kłody jeszcze tego samego dnia.

Nie powiem, abyśmy stawili się punktualnie (...!), niemniej jakoś udało się zebrać całą grupę. Wyszło na jaw, że Gosia wraz z Natalką zdążyły już zostawić swoje fundusze, obciążające portfele, w pobliskim sklepie obuwniczo-odzieżowym. Po prostu zastąpiły mokre buty i bluzki – suchymi!

Ksiądz zaprosił nas na mały, ale sycący, poczęstunek. Zaserwował przygotowane Agnieszko- Krzysio - i (głównie) własnoręcznie kanapki. Oczywiście tradycyjnie z mięskiem konserwowym. Zaś pragnienie mogliśmy ugasić płynnym roztworem spożywczym o smaku czereśni i aromacie identycznym z naturalnym. Nabraliśmy wystarczająco dużo sił, by dotrzeć do wieczora w pełni władz fizycznych i umysłowych.

Zając pozycje, „na koń!” i cała naprzód!!!. Ruszyliśmy żwawym tempem, chcą uciec przed deszczowymi cumulonimbusami. Nie było łatwo. Burza ciągle siedziała nam na ogonie, ocierając się niemal o tylne błotniki! Pojedyncze kropelki wody rozbryzgiwały się na rękach mocno trzymających kierownice. Nie ma co ukrywać – była faworytem owego wyścigu. Chociaż wciąż łudziliśmy się, że mamy szanse na zwycięstwo. Bardzo długo byliśmy trzymani w niepewności. Całe szczęście, bo zanim porządnie zaczęło lać, pokonaliśmy większą część trasy.

A przeżyliśmy na tym odcinku coś niesamowitego, i naprawdę trudnego do powtórzenia. Mniej więcej sytuacja wglądała tak:

Chmury szczelnie już zakryły błękit nieba, ale nadal było nam bardzo ciepło i duszno. Pędziliśmy od dłuższego czasu przez las, gdy widoczny na końcu kawałek drogi ukrył się pod gęstą białą mgiełką. No nic. Zatrzymaliśmy się na krotki odpoczynek i jechaliśmy dalej. Coraz szybciej zbliżaliśmy się do mglistego terytorium. Nagle przeszył nas ostry, przejmujący chłód. W pierwszej chwili dla rozgrzanych ciał było to nawet mile uczucie. Temperatura gwałtownie spadła, by znaleźć się w granicach 0-4 stopni Celsjusza! Nieprawdopodobne! Na początku upalnego lipca tuż obok nas zalegał najprawdziwszy lód, który zaczynał parować. Znajdował się po prawej i lewej stronie drogi, wszędzie, gdzie zdołaliśmy sięgnąć wzrokiem. Obserwowaliśmy zaiste osobliwe zjawisko atmosferyczne. Byliśmy w sercu gigantycznej zielonej lodówki!

Delikatna mgła otulała subtelnie pnie wszystkich drzew wprowadzając dzięki temu niezwykle baśniowy klimat. Moją wyobraźnię wypełniała wizja prehistorycznej puszczy przeplatająca się z obrazem borów goszczących księcia Mieszka. Jednak w miarę upływu

czasu puszcza wraz z borem ustępowały miejsca bezkresnej Antarktydzie... Robiło się coraz zimniej. Tym razem zapomniałam, jak w ogóle może być człowiekowi gorąco!

Na szczęście wkrótce opuściliśmy obszar nawiedzony intensywnym gradobiciem i kolejne kilometry pokonywaliśmy w zwyczajowych okolicznościach. Nieco zaniepokoiły mnie szmery i trzaski tudzież wycia połączone z rozdzierającymi jękami, które emitował koniec kolumny. Sprawcą tych przejmujących odgłosów okazało się małe radyjko rowerowe marki Elektrolux napędzane dzięki prądniczy. Potrzebowało ono trochę czasu by rozkręcić się na dobre i odbierać bez zarzutu. Radyjko uruchomił Krzysio (kolejny atrybut pasjonata - kolarza!) pragnąc uświetnić naszą wyjątkową podróż. Pełni nadziei na wysłuchanie jakiejś listy przebojów, okazaliśmy męczarniom odbiorniczka daleko posuniętą wyrozumiałość. No i nie zawiedliśmy się!

Czas na chwilę oddechu. Po sięgnięciu do mego notatnika znalazłam taką oto wzmiankę:

„16:25 – dłuższy przystanek w Starym Brusie. Właśnie następuje masowa konsumpcja lodów. Chłodno i kropi. Cały czas jesteśmy pod presją. Szata niebios już nie wytrzymuje zalegających hektolitrów H₂O. Właśnie zamoczył mi się długopis...”

Ksiądz zarządził natychmiastową mobilizację. Burza deptała nam już po piętach, czy raczej kołach, w każdym razie dzieliła ją od nas niebezpiecznie mała odległość. Dużym plusem tej sytuacji był zdecydowanie komfort jazdy pod względem temperatury i wilgotności powietrza. Akurat takie warunki większość nas uznała za idealne, więc męczyliśmy się mniej niż zwykle.

Kiedy deszczyk stawał się coraz silniejszy, musieliśmy ustąpić zaciętej walce i najzwyczajniej w świecie poszukać szczelnego dachu nad głową. „Ktoś” widać czuwał nad nami, bo w jednej chwili wyłonił się mały budynek przystanku autobusowego, który zdołał pomieścić wszystkich rajdowców. Znalazły się nawet dla niektórych miejsca siedzące! Przy okazji zaczęliśmy już zdradzać symptomy początkowych faz wyczerpania. Rytmicznie stukające o dach krople deszczu wprawiły nas w trans. Wybuchła epidemia ciężkości powiek, w niektórych przypadkach rozszerzona o intensywne ziewanie.

Ku naszej cichej radości, opady trwały wystarczająco długo, by móc posiedzieć sobie spokojnie delektując się niewinnym lenistwem fizycznym. Wtedy byliśmy w stanie pracować jedynie umysłem, byle nie za ciężko. Nasze oczy przybrały formę wąskich zamykających się szparek. Piotrek szczelnie opatulony wodoodpornym wdziankiem kucnął przy wejściu i po chwili był małą, czarną, drzemającą kulką. Inni też zasypiali. Wewnątrz przystanku było miło i ciepło, a na zewnątrz ciągle padało. Wśród żartów i ożywionych rozmów odgoniliśmy mimo wszystko, atakującą nas senność. A wkrótce potem deszcz ustał. Dosiedliśmy bicyclorumaków by pokonać ostatni już dzisiejszy etap.

Przejażdżka po deszczu sprawiała mi masę przyjemności, podobnie jak innym. Niemniej jazda wymagała coraz większego wysiłku. Staraliśmy się w drodze zamieniać ze sobą po kilka słów. Musieliśmy wzajemnie się wspierać, by nie opaść z sił i dotrzeć na plebanię. Ci, którzy już nie dawali sobie rady, znajdowali oparcie w pełnych energii. Nie było obaw, że ktoś zostanie sam.

Ostatnie kilometry część chłopców zamieniła w mały wyścig. Zatem wjeżdżali do Dębowej Kłody pełną parą, jako nasz komitet reprezentacyjny. Kiedy zdążyli się rozgościć, dotarła reszta. Najważniejsze, że wszyscy byli cali, zdrowi a nawet zadowoleni! Licznik rowerowy Krzysia oznajmiał pokonanie 98 km! Gdyby dodać to, co zrobiliśmy pieszo chodząc od łazienki do kuchni, od kuchni do sypialni i jeszcze wokół plebani można przyjąć, że w nogach mamy nie 98, ale 100km.Przyszedł czas na krótką chwilę odprężenia...

Po smacznej kolacji poszliśmy uwieńczyć przeżycia minionego dnia wspólną modlitwą i medytacją. Medytację zaś poprowadził Michał przekonując, iż życie jest cenne. Najbardziej podobało mi się z tej wypowiedzi stwierdzenie: „prawa człowieka ogłosił Jezus Chrystus”.

Moim zadaniem to fenomenalne!

Świadomi dokonania stosunkowo wielkich czynów pozwoliliśmy aby przyszedł sen. To nam się z całą pewnością należało !!!

I tak minął czwartek – DZIEŃ SZÓSTY.

PIĄTEK - 6 lipca

Gdy tylko poranne słońce otworzyło nam oczy, pobiegliśmy przywitać nowy dzień poranną Mszą Św. (8:00). Po niej zaś spokojnie skonsumowaliśmy śniadanko. Jak co dzień w krótkich ogłoszeniach Ksiądz przedstawił nam plan działań. Pierwszy punkt przewidywał modlitwę i medytację, drugi – odwiedziny grobów oraz bunkrów partyzanckich, trzecio-popołudniową uciechę wodną (!!!), a czwarty – Drogę Krzyżową, do której mieliśmy przygotować osobiste rozważania. Czyli wszystko jasne.

Medytację poprowadziła Gosia. Przygotowała wystąpienie z dużym zaangażowaniem i zaskoczyła swoją pomysłowością nas wszystkich. Przykładem średniowiecznych budowniczych wielkich katedr obudziła w nas nowy zapał do pracy. Ciężko było zdać sobie sprawę z własnego lenistwa!

Ciało i duch zostały pokrzepione, więc wyruszyliśmy poznać kolejne okoliczne zakątki. Jechaliśmy nieskończenie długo przez las, zanim pokazały się groby partyzantów radzieckich walczących niegdyś z Niemcami. Ksiądz przedstawił skondensowaną historię tamtych walk, po czym stanęliśmy przy rekonstrukcji partyzanckich bunkrów. Kilka osób pchniętych niepohamowaną ciekawością zbadało bunkry również od środka. Należałam do tych szczęśliwców. Warunki wewnątrz przedstawiały się znośnie. Ostatecznie mogłabym przetrwać tam jedną noc, ale na więcej się nie deklaruję. Na pewno! Za dużo komarów, mrówek i tym podobnych atrakcji.

Po swoistej teoretyczno-empirycznej lekcji historii przyszedł czas na przerwę. Bardzo długą i bardzo przyjemną przerwę. Mogliśmy do woli rozgrzewać się słońcem i ochładzać wodą. Wprost rajskie życie. Chłopcy zabrali ze sobą piłkę. Przedmiot ten niewątpliwie uatrakcyjniał kąpiel, zwłaszcza, że był dostępny dla nas wszystkich. Próbowaliśmy sił w siatkówce wodnej (bez siatki), ale bez większych sukcesów. Ostatecznie piłka posłużyła za pomoc dla odważnych w nauce pływania. Ta umiejętność przydałaby się bardzo, gdybyśmy kiedyś znowu chcieli porejsować rowerami wodnymi. Na razie jednak jednomyślnie z nich zrezygnowaliśmy. Trudno się dziwić...

Tymczasem objadaliśmy się w wodzie wybornymi ciasteczkami. Słoneczko cudownie przygrzewało jakby zapraszając do opalania. Skusili się nawet najbardziej ostrożni. Radość chwili nieco uspiła naszą czujność. Czas zdawał się stać w miejscu, a jednak nieubłaganie płynął. Skutki działania złośliwych promieni podzieliły nas na dwie grupy: afrykańskich Murzynów i czerwonoskórych przybyszów z Ameryki Południowej. Dobrze, że rodzice nie widzieli nas w takim stanie.

Igraszki wodo-słoneczne niebawem ukrócił Ksiądz. Przypomniwał nam, że należałoby przygotować się do wieczornej Drogi Krzyżowej. Wiadomość, że mamy wcześniej opuścić plażę dla niektórych okazała się ciężkim szokiem. Serce rozkołatało się w dzikiej histerii, ale podświadomie czuło, że mimo wszystko jest to krok słuszny, więc nie nastąpił otwarty wybuch buntu. Niemniej wytworzyła się dość ciężka atmosfera. Na domiar złego zginęła piłka...

W drodze powrotnej nie byliśmy już tacy rozbrykani, jak zwykle. Ja prawie przez cały ten czas myślałam nad tym, którą stację wybiorę i co na jej temat powiem. Powoli w moim umyśle zaczęła się krystalizować pewna wizja. Nawet nie zorientowałam się, kiedy dojechalśmy na plebanię. Za jakieś 30-40 minut Panie miały podać kolację. Powietrze stało

się ciężkie. Czuliśmy się nieswojo. Po posiłku Ksiądz postanowił poważnie i szczerze z nami porozmawiać. Chyba odgadł, że bardzo tego potrzebujemy. Miał to być równocześnie wieczorek podsumowujący, bo główne cele rajdu zostały osiągnięte. Sięgając do pudełka po kokosowe ciasteczka słuchaliśmy co mówi nasz Opiekun.

Jego słowa działały jak balsam. Zniknęły wszelkie wątpliwości i urazy. Ksiądz zmobilizował nas do trudnego wysiłku i przełamywania blokad psychicznych, które uniemożliwiają normalne funkcjonowanie w świecie. Zachęcał, by walczyć z wrodzonym egoizmem, który każdy człowiek ma w swej naturze i bardziej „być dla innych”, ufać ludziom. Udzielił też wskazówek, jak mamy przygotować Drogę Krzyżową. Na koniec zaś przestrzegł przed zadawaniem się z malkontentami, którzy potrafią zatruć i siebie, i wszystkich dokoła.

Zobaczyliśmy pewne sprawy w nowym świetle i od razu zrobiło się lżej na duszy. A noszenie ciężaru, który jeszcze pozostał – już nie przygniatało, ale ćwiczyło siłę woli. Leżałam na materacu, gdy komuś wchodzącemu do pokoju wyrwało się: „jak to dobrze, że Ksiądz nam to wszystko powiedział”. Uśmiechnęliśmy się do siebie porozumiewawczo.

Byłam dumna ze wszystkich. Już dawno nie uczestniczyłam w tak wspaniałej Drodze Krzyżowej. Każde wypowiedziane słowo pochodziło z serca. Wyrażało to, co naprawdę czuliśmy. Ciągle będę je pamiętać i do nich wracać. Właściwie każdy cieszył się, że zrobił coś dobrego, że pokonał strach, obawę, nieśmiałość, że życie nabrało sensu i że dobrze wykorzystał czas. Dodać trzeba, iż byliśmy już w komplecie, bo wrócił Bartek a dodatkowo przybył od dawna oczekiwany Pan Stefan. On też wraz z nami przeżywał Drogę Krzyżową. Potrafił rozsiewać dookoła radosną atmosferę zarażając wszystkich pogodą ducha. Wśród nas jakby pojaśniało.

Dobry humor odzyskaliśmy w samą porę, gdyż trzeba było naprawić spustoszenia, jakie spowodowało na naszej skórze złote słoneczko. Najbardziej ucierpiała Kalina (poparzone ramiona) i Agnieszka (zwałone nogi). Biedaczki musiały nakładać na siebie jakieś zielone lub pomarańczowo-brązowe substancje, a każde dotknięcie skóry powodowało ból nie do pozazdroszczenia. Aga otrzymała z tej okazji przywilej paradowania w ręczniku (zamiast spodni), co i tak niewiele rekompensowało jej bolesne przeżycia. Z jednej strony chciałoby się zapytać „gdzie jest ten dobroczynny wpływ lata na młodą cerę?”. Z drugiej zaś racjonalny głosik w głębi umysłu powtarza: „umiary, umiary, umiary...”. Jednak z tym złotym środkiem było dziś trudno. Królowała lekka, niegroźna ale przesada. Rozegrała się pod osłoną nocy walka płci. Przestrzeń powietrzną nad nieco chwiejącym się parawanem opanowały latające poduszki. Gdy tylko w coś (lub kogoś) trafiły, rozlegał się triumfalny okrzyk ze strony przeciwnika. Po dość długim czasie tę rozgrywkę damsko-męską zastąpiła inna wykorzystująca telefony komórkowe. Odbывała się, dla kontrastu, w konspiracji pomiędzy dwiema osobami – Kasią i Piotrkim. Piotrek dręczony sygnałami, z niewiadomego źródła, nie mógł skupić się na dyskusji z Michałem. U szczytu irytacji pojawił wreszcie, kto go doprowadza do ostateczności, wydobył z gardła przejmujący krzyk: „Kaśkaa!!! Lepiej strzeż się, bo nie wiem, co ci zrobię!”. Choć silił się by nadać to stylem Iwana Groźnego, w ostatnich słowach wyczuliśmy ukrywane rozbawienie. Ale wtedy zdał sobie sprawę, że takich wrzasków nocą nie pochwalą, być może, wyrwany ze snu Ksiądz. Lekka obawa udzieliła się wszystkim. Solidarnie postanowiliśmy zachowywać się spokojniej. Czekaliśmy w lekkim napięciu na rozwój wydarzeń. Nie dosięgnął nas żaden grom, ani nie pochłonęło trzęsienie ziemi, więc zdecydowaliśmy się zamknąć oczy i zasnąć. Przecież przez sen już nie można zrobić nic złego...

I tak minął piątek – DZIEŃ SIÓDMY.

SOBOTA – 7 lipca

Choć niby w piątek zakończył się cykl ekspedycji wielkiej wagi, na dzisiaj została nam jeszcze jedna 20 km wyprawa, w Parczewie miało się odbyć Diecezjalne Forum Nauczycieli, organizowane przez Księdza Dyrektora naszego liceum. Jak mogliśmy tam nie pojechać?! Forum stwarzało okazję, by zobaczyć się z naszymi kochanym pedagogami i upewnić, czy aby na pewno dobrze wypoczywają w wakacje.

Odpowiednie przygotowanie się do uroczystości posiadało bolesny skutek uboczny – pobudkę o 6:30. Gdy zegar wskazywał 8:00, skrzętnie ukrywając ataki ziewania, zjedliśmy śniadanie. Przed wyjazdem do Parczewa Panie Basia i Agata postanowiły zająć się Agnieszka. Oparzenia na nogach nadal bardzo jej dokuczały. Groziło jej pozostanie na plebani nawet do końca dnia, a przecież chcieliśmy, by była cały czas razem z nami. Ostatnią deską ratunku stał się...kefir. Okazuje się, że na wszystko są „domowe sposoby”. Zabieg raczenia dolnych kończyn, w części górnej, przemysłowym zsiadłym mlekiem odbył się na powietrzu wśród tłumu życzliwych gapiów. Znalazł się nawet jeden „fotoreporter”, który nie omieszkał zrobić sensacyjnych zdjęć. Wydawało się to wszystko nieco intrygujące, ale najważniejsze, że osiągnięto pożądany skutek!!! Agnieszka poczuła się znacznie lepiej. Pani Basia, która przeprowadzała smarowanie – również. Nie mówiąc już o Księdzu i wszystkich pozostałych. Dopiero teraz mogliśmy spokojnie wsiąść na rowery. Wybiła 9:00.

Ksiądz tym razem pojechał, wraz z Paniami, samochodem. Jednak nie musiał długo na nas czekać, bo dotarliśmy zaskakująco szybko. Nawet sami byliśmy tym wynikiem trochę zaskoczeni z uwagi na wszechobecny potworny upał.

Tuż po nas w Parczewie zjawił się autokar wiozący ogromne pedagogiczne grono. Znaleźli się tam także niektórzy nasi profesorowie. Przywitaliśmy się z obustronną (!) spontaniczną radością. Potem opowiedzieliśmy o naszych wakacyjnych poczynaniach ani na chwilę nie tracąc uśmiechu na twarzy. Nie widzieliśmy się przecież przez całe 14 dni! Nie kłamiąc przyznam, że spotkanie należało do udanych. Oby tak samo było też po wakacjach...

O 10:15 siedzieliśmy w tylnych ławkach parczewskiej bazyliki. Świątynia dała nam schronienie przed niemiłosiernym żarem, jaki dosięgał wszystkich na zewnątrz. Przyjemny chłód zwrócił utraconą pod wpływem gorąca rzeźkość. Toteż z uwagą mogliśmy śledzić obrzędy rozpoczynające uroczystość. Gdy nasz Ksiądz Dyrektor zakończył wygłaszanie słów powitania, na ambonę wstąpił specjalny gość tegorocznego forum – profesor Politechniki Krakowskiej pan Janusz Kawecki z zamiarem przedstawienia wykładu na temat rozsądnego użytkowania środków społecznego przekazu. W tej wypowiedzi i my znaleźliśmy dla siebie kilka cennych uwag. Osiały wykładu pana profesora były dwa stwierdzenia:

- To, co przekazują media – niekoniecznie jest prawdą. Trzeba docierać do źródeł.
- Katolicy powinni kupować i czytać katolickie czasopisma.

Przez pierwsze 15 minut jeszcze staraliśmy się trzymać fason, udawać, że jesteśmy doskonale wyspani, a upał nie zrobił na nas żadnego wrażenia. Jednak później trzeba było przeprowadzać niesamowitą batalię z atakującą ogromną sennością. Co jakiś czas ktoś nie wytrzymał natarcia i zapadał w lekką drzemkę. Mnie też kilka razy opadły powieki i nie miało to związku z odruchowym mruganiem... Na szczęście (lub nieszczęście, jak mawiali Paweł oraz Bartek) ławki skutecznie udaremniały próby dłuższego snu. Trudno było wygodnie umiejscowić na czymś głowę. Toteż dotrwaliśmy do końca wykładu we względnej czujności.

Po powszechnie zasłużonej chwili odpoczynku, ponownie weszliśmy do bazyliki. O 12:15 wzięliśmy udział w odprawianej, przed cudownym obrazem Matki Bożej z gruszką, Mszy Św.

Odwiedziny Parczewa uwieńczyliśmy dłuższym pobytem w ...cukierni! Ksiądz zafundował każdemu członkowi ekipy rekolekcyjno - rowerowej dużą porcję wysmienitych lodów. Wybieraliśmy różne smaki, by wymieniać się rodzajami rozkoszy podniebienia. Było co polizać, także u stojącego obok kompana (ew. kompanki) z branży. Lodowa przyjemność zdecydowanie poprawiła mi humor. Nabrałam chęci, by aktywnie spędzić resztę dnia.

Zaistniała sytuacja miała dwa oblicza. W to drugie wdarł się odcień smutku, bo spędzaliśmy ostatnie chwile z Panią Basią i Panią Agatą. Nie mogliśmy odżalować, że muszą nas dzisiaj opuścić. Było nam z nimi bardzo dobrze. Jednak kwestia wyjazdu już nie podlegała dyskusji. Zanim zdążyliśmy wrócić na „naszą” plebanię, Panie wyjechały. Na krótką chwilę zatrzymaliśmy ich samochód i pożegnaliśmy się bardzo szybko. Nawet nie zdołaliśmy wyrazić wszystkich słów wdzięczności. Ale serdeczne uśmiechy mówiły same za siebie.

Weszliśmy na plebanię. Od tej pory nasze żołądki czuły się zagrożone. Aczkolwiek niesłusznie. Wspólnym wysiłkiem udało się wygospodarować odpowiednie ilości jedzenia. Ksiądz czuwał nad wszystkim.

Po południu nastąpiło małe ochłodzenie, a słońce zaczęło borykać się z przysłaniającymi je chmurami. Mimo to nie zrezygnowaliśmy z eskapady nad ulubione jezioro. Dziś mogliśmy tam szaleć do woli. Taka okazja nie zdarza często, nawet w wakacje.

Nareszcie udało mi się wciągnąć do wody Kasię... Pan Stefan wcielił się w instruktora pływania i czuwał nad jej postępami w tej dziedzinie. Ja zaś napływałam się za wszystkie czasy zaspokajając żądzę wodną w zupełności. Rozegrałam małą wodną batalię z Księdzem. Jednak musiałam się poddać, by uniknąć zatopienia. Niebiesko-zielona ciecz z dodatkiem wodorostów dostarczyła nam mnóstwo radości. Krzysio też skusił się na kąpiel i nie żałował. Woda była niespotykane ciepła. Prawie nie wychodziłam na brzeg. Wymoczyłam wszystkie negatywne emocje. Wspaniała pogoda wróciła, by towarzyszyć nam do końca tego dnia. Zawsze najbardziej lubiłam soboty, ale dzisiejsza przerosła moje oczekiwania. Obserwowaliśmy promienie zachodzącego słońca po szyję zanurzeni w toni jeziora. Naprawdę chciało się żyć!!!

Wróciliśmy, ze zrozumiałych względów, później niż zwykle. Myśleliśmy, że na dziś już koniec wspaniałości, więc późniejsze wydarzenia okazały się miłą niespodzianką. O 21:45 Piotrek poprowadził medytację zatytułowaną „Księga natury też mówi o Bogu”. Temat był nam bardzo bliski. W końcu doświadczyliśmy tego na własnej skórze kilka godzin temu. Księga natury przedstawiła nam wspaniały obraz Stwórcy, bardzo bliski sercu. Pozytywnie nastroszeni jak nigdy, wczuliśmy się w spontaniczną modlitwę. Jak nigdy otworzyły się nasze serca i potrafiliśmy wyrazić Bogu całą wdzięczność za wszystko, co nas spotkało. To było dla mnie niesamowite przeżycie. Czułam się tak wyjątkowo po raz pierwszy. Wydało mi się, że cały rajd zaistniał właśnie dla tej szczególnej chwili. Wiedzieliśmy, że Bóg jest wraz z nami, tuż obok, albo nawet dookoła, a właściwie także w środku nas samych.

I jak tu nie wierzyć Księdzu, kiedy mówi, że „wszystko najlepsze dopiero przed nami”?!

Na dodatek okazało się, że mamy ognisko! Tym razem Ksiądz zapewnił porządną porcję napojów. Pan Stefan zajął się gitarą, ale niewiele śpiewaliśmy. Posypały się za to dowcipy. Nawet o stosunkach amerykańsko-radzieckich w dobie komunizmu, w których to gustował Michał. Michał nie omieszkał również spojrzeć okiem satyryka na pieska Księdza Proboszcza – Gazora (takim mianem obarczyli go chłopcy). „Nażarliśmy” się wprost nieprzyzwoicie, ale udało się spalić trochę kalorii samym śmiechem. Ognisko przeciągnęło się do trzeciej na ranem. Mimo tak późnej pory nie wszyscy mogli zasnąć.

Odkryliśmy, że bardzo potrzebujemy siebie nawzajem. Zebrało się na chwilę szczerości. Czuliśmy się inaczej niż zwykle. Przestało nam wystarczać to, co widać na

zewnątrz. Zaczęliśmy poszukiwać głębi w sobie i ludziach, którzy nas otaczają. W niektórych przypadkach te poszukiwania dały zaskakujące rezultaty! Popatrzyliśmy na siebie inaczej, jakby bardziej po ludzku, a jednocześnie wykraczając poza czysto ludzki wymiar. Niczego wtedy bardziej nie pragnęłam, jak pozostać na zawsze w takim stanie. Być duszą blisko Boga i ludzi pragnąc tylko dobra.

I tak minęła sobota – DZIEŃ ÓSMY.

NIEDZIELA – 8 lipca

Wczesne popołudnie miało swój urok. Rzuciło na mnie niepowtarzalny, właściwy tylko tej chwili czar. Ludzie jeszcze zażywali wodnych uciech. Patrzyłam chyba trochę nieobecny wzrokiem na roześmiane dzieci w kolorowych kąpielówkach. Biegały z małymi pontonami, kołami ratunkowymi lub innymi nadmuchanymi akcesoriami. Kilku rodziców cierpliwie uczyło swoje pociechy pływać. Ale, ogólnie rzecz biorąc, miejsce, które sobie dziś wybrałam na odpoczynek, wionęło spokojem. Dla odmiany cały czas, przez jaki bawiliśmy nad jeziorem poświęciłam na opalanie. Z przyjemnością pozwoliłam, by ogrzewało mnie gorące słońce. Miałam prześliczny widok na jezioro. Długo przyglądałam się lekkim falom, po których grzbietach igrały złote promienie padające z góry. Akwen nie był duży – bez trudu dostrzegałam ciemnozielony las i zarośla na przeciwległym brzegu. Mimo to wyglądał wtedy urzekająco, pobłyskując co chwila bielą i złotem. Po głowie błąkały mi się pewne przemyślenia, którymi niebawem podzieliłam się z Kasią. Leżała obok mnie po prawej stronie. Rozmawiałyśmy jakiś czas, po czym zamknęłam oczy. Myślałam o tym, co dzisiaj się zdarzyło.

Przede wszystkim jeszcze żyły we mnie wspomnienia minionej nocy, tak różnej od setek innych. Przypomniałam sobie nasze małe dyskusje z udziałem większej części rowerowej ekipy. Byliśmy bardzo ciekawi i siebie nawzajem, i świata. Przecież każdy miał w zanadru coś, o czym nie widzieli pozostali. Mogliśmy się od siebie wiele nauczyć. Wystarczyło zaangażować w swoje obserwacje serce a ukazywało się wspaniałe oblicze drugiego człowieka. Przy tym przekonaliśmy się, iż każdy posiada własne mnóstwo problemów. Różniliśmy się tylko sposobami radzenia sobie z nimi. Nikt nie miał łatwo, ale chcieliśmy sobie pomagać. Zdecydowanie, niesienie dobra i radości innym jest najbardziej absorbującym zajęciem, które daje najwięcej szczęścia. Dzięki temu osobiste problemy schodzą na dalszy plan i nie zaturwiają życia (bo zaspokajanie własnych potrzeb liczy się wówczas najmniej...). Korzyść jest więc obustronna!

Poszłam spać po piątej rano. Zapewne dlatego czułam się na plaży bardzo senna. Nie miałam siły otworzyć oczu. Myślałam dalej.

O 9:30 zebrałiśmy się w kościele na medytację. Marta rozstrzygała problem „Mówić czy milczeć?”. Próbowałam wydobyć sedno rozważań. W największym skrócie mogłoby mieć ono taką postać – trzeba uciszyć się by słyszeć głos Boga, ale nie milczeć dziwnie, patrząc na zło wokół. Marta poruszyła wiele różnych aspektów tego zagadnienia, jednak mnie najbardziej zapadły w pamięci trzy słowa: „szukać smaku ciszy”. Niemniej dopiero po pewnym czasie dotarła do mnie głębia tego sformułowania. Postanowiłam stać się takim nietypowym, wybrednym smakoszem i skończyć z robieniem „wszystkiego” w domu przy muzyce.

Promienie słońca dość długo zajmowały się moją skórą, ale nie zauważyłam na niej szczególnych zmian. Lekko zawiedziona rozejrzałam się na boki. Moi kochani towarzysze właśnie roznosili molo po lewej stronie. Panowało tam małe zamieszanie. Wymieniłyśmy z Kasią porozumiewawcze spojrzenia, po czym zdecydowałyśmy się na spacer. Kierunek – molo, trasa – przybrzeżna płycizna.

Wspomniane wcześniej zamieszanie wywołały dwa czynniki. Pierwszy to wypełniony powietrzem niebieski fotel (pożyczony od grupy studentów stacjonującej obok), a drugi nosił tytuł ratownika. Oczywiście pierwszym zajęła się większość chłopców, a drugim większość dziewczyn. Gdyby było odwrotnie mogłabym zacząć się martwić, chociaż różnie to bywa na świecie, a zwłaszcza wśród młodzieży...W ostatecznym rozrachunku ratownik dostarczył więcej uciech niż ponton udający fotel. Już wczoraj kilka osób powzięło niezłomny zamiar uwiecznienia pana z karnacją Mulata na kliszy fotograficznej, a myśl ta kwitła w nich bujnym kwieciami. Teoretycznie wystarczyło tylko poczekać na odpowiedni moment. W praktyce jednak żaden moment nie był wystarczająco odpowiedni... Już sesja zdjęciowa miała spalić na panewce, zakończyć się fiaskiem i zostać okrzyknięta najbardziej nieudanym przedsięwzięciem nowego tysiąclecia, gdy Piotrek postanowił wykorzystać swój talent pedagogiczny z domieszką daru perswazji. Podejście wysoce dystyngowane, kurtuazyjna prośba uwieczniona czarującym uśmiechem i stojąca niedaleko studentka była gotowa fotografować wszystkich ratowników w okolicy, a tego upragnionego najbardziej, bo знаła go osobiście. Widocznie ratownikowi zależało na owej znajomości, gdyż entuzjastycznie zgodził się na sesję. Nawet starał się pozować! Jako że przyszło mi odbierać aparat z rąk studentki, padłam ofiarą podejrzenia jakoby to mnie ów opalony młodzieniec wpadł w oko. Na domiar złego wcześniej wymieniłam z nim przypadkowo kilka spojrzeń, które ktoś mógł zaliczyć do znaczących (choć takimi nie były pod żadnym pozorem) Musiałam jak najszybciej się stamtąd oddalić. Po drodze oddałam czarny prostopadłościan z lampą błyskową prawowitej właścicielce. Kilku osobom rozpromieniły się twarze, a w oczach zatańczyły figlarne ogniki...

Wróciłam na swoje spokojne, miejsce by ponownie zatopić się w rozmyślaniach. Świadomość jutrzejszego wyjazdu nie docierała do mnie w całej swej okazałości. Jeszcze żyłam tą słoneczną chwilą, na którą nic nie potrafiło rzucić przygnębiającego cienia. Właściwie zabawy na molo wprawiły mnie w nastrój daleki od melancholii. Zamieniłam parę zadań z Panią Renatą, która wczoraj dołączyła do nas i wraz z Panem Stefanem pomagała Księdzu okiełznać naszą rozbrykaną gromadę, a także włączała się w proces zaspokajania przepastnych żołądków tejże gromady, była przy tym anielsko dobra! Potem znowu przeprowadziłam dysputę z Kasią. Tym razem raczej na wesoło, choć niedziela miała się ku końcowi. Wystarczająco długo „zaszczycaliśmy” plażę nad Białką swoją obecnością, więc powrót odbył się bez oporu, tudzież ociągania. Posłusznie wsiedliśmy na rowery, by pokonać, ostatni raz tego lata, dobrze już znaną trasę.

Czas po powrocie na plebanie spędziłam dość osobliwie – prawie nie opuszczając kuchni! Najpierw jedzenie obiadu, potem zmywanie. Po nim w kuchni zrobiło się bardzo przyjemnie, więc chciałam jeszcze chwilkę tam zabawić. Zostałam z Kasią i rozwinęłyśmy bardzo emocjonującą konwersację. Wszyscy inni systematycznie znikali z oczu. Czuli, że są to już ostatnie chwile, żeby powiedzieć komuś coś ważnego, zacieśnić więzy, zapytać o coś istotnego na osobności. Aura zmierzchu niewątpliwie temu sprzyjała. Agnieszka wyszła z Krzyśkiem, Natalka z Gosią, Piotrek gdzieś sam wyrwał się rowerem, o Ani, Kalinie, Marcie, Hubercie i Michale nie mam informacji. Ksiądz również przepadł, podobnie jak Pan Stefan i Pani Renata. Byłyśmy same, choć ledwie ten fakt zauważyłyśmy. Mijały sekundy, minuty, kwadransy...przed oczami wyrósł nam Ksiądz. Przypomniał o kolacji, której ewentualne zaistnienie obwieścił tuż po obiedzie. Jego zdaniem jeszcze jeden wspólny posiłek dzisiaj by nie zaszkodził, zwłaszcza, że obiad nie był tak obfity, jak wcześniejsze obiadowe kolacje. Przystałyśmy na tę propozycję. Wcale nie chciałyśmy usłyszeć jak „kiszki marsza grają”. Rozpoczęło się nieprzeciętnie długie i staranne pitraszenie wieczery. Wkrótce wsparli nas w kulinarnych poczynaniach Agnieszka i Krzysio. Nie pamiętam kiedy ostatnio w tak wspaniałej atmosferze smarowałam masłem kromki chleba! Nie wiem, czy jeszcze kiedyś ktoś po siedzeniu za stołem w towarzystwie trzech osób i kuchenki gazowej,

przez główną część wieczoru, powie: „było cudownie!” ale ja to zrobiłam z przekonaniem! Radość nie schodziła mi z twarzy. Przygotowaliśmy wspólnie sporą ilość (nie chwając się) wyśmienitych kanapek opływających w ogrom sałaty. Zielone listki zapewnił nam Ksiądz Proboszcz podobnie jak i inne tego typu przysmaki. Pod drzwiami kuchni spoczęła bowiem wielka sterta różnych warzyw! Jako deser (tak tak, nie obyło się bez słodkości...) posłużyły chrupiące herbatniki wzbogacone o pyszną czekoladę, których nie zdołaliśmy pochłonąć po obiedzie. Naturalnie życie osładzał nam Ksiądz! Jak zwykle wiedział, czego potrzebujemy.

Kiedy pałaszowaliśmy chleb z sałatą i dodatkiem mięsa, wieczór rozpanoszył się na dobre, dalsze obiekty miały postać ciemnoszarych plam. Księżyc nie ukazał się w całym majestacie, bo pełnię obserwowaliśmy kilka dni wcześniej, ale jego blask i tak świetnie komponował się z cykaniem świerszczy.

Ogólną wesołość zmąciło nieco spóźnienie Piotrka na kanapkowo-ciasteczkowy posiłek i nad czoło Księdza nadciągnęły ciemne chmury. Z mieszanymi, przez zaistniałą sytuację, uczuciami, ale wypełnionymi żołądkami, odpoczywaliśmy przed medytacją.

Refleksami dzieliła się o 22:15 Ania. Tytuł rozważań brzmiał: „Służba zmienia się, ale się nie kończy”. Postanowiłam wyryć sobie w pamięci słowa Chrystusa:

„Kto chciałby być wielkim między wami, niech będzie sługą waszym. A kto chciałby być pierwszym między wami niech będzie waszym niewolnikiem.”

Znowu położyłam się spać późno, choć nie tak bardzo, jak wczoraj. Świadomość końca rekolekcji docierała do mnie coraz bardziej, kiedy siedzieliśmy małą grupką na korytarzu, z latarkami układając piosenkę dla Księdza. Chcieliśmy jej słowami podziękować za wszystkie chwile, które spędził z nami (czemu wtedy rymy nie przychodziły tak łatwo?!). Za zorganizowanie czasu w wakacje i za trud opieki. Całą wdzięczność, za wszystko. Na ile się to udało, Ksiądz ocenił wkrótce sam. Dość, że nasz zapał nie był słomiany.

Czas trwania tego wspaniałego przedsięwzięcia, jakim był nasz rajd, minął szybko, bardzo szybko. Koniec nadchodził przedwcześnie. Zawsze jednak koniec czegoś pięknego następuje, zdawałoby się, w nieodpowiedniej chwili. Doświadczałam tego kolejny raz.

Najchętniej zostałabym na tych wyjątkowych rekolekcjach do września albo i dłużej. Chociaż z drugiej strony podświadomie wiedziałam (i nadal wiem!), że to „tylko” kolejny etap w drodze do Czegoś Większego, że przeżyliśmy swego rodzaju szkolenie, by móc podjąć nowe wyzwania. Wiem też, że pojawiają się one niebawem...

Walcząc, by nie zasnąć w drodze, pokonałam cały sypialniany tor przeszkód delikatnie przyświecając sobie latarką. Zrobiłam wszystko, co miałam dziś zrobić, więc z satysfakcją wsunęłam się do śpiwora. Nie mam pojęcia, kiedy zasnęłam. Chyba natychmiast.

I tak minęła niedziela – DZIEŃ DZIEWIĄTY.

PONIEDZIAŁEK – 9 lipca

Z trudem otwierałam oczy po ostatniej nocy, podobnie jak pozostali. Po raz pierwszy tak długo ociągałam się ze wstawaniem. Najpierw podniosłam jedną powiekę, potem drugą. Potem patrzyłam nieprzytomnie na wszystko dookoła. Ponownie zamknęłam oczy. Następnie z jeszcze większym wysiłkiem powtórzyłam poprzednią czynność. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Opuszczenie materaca z własnej woli było dla mnie nieosiągalne. Przywarłam do niego każdą cząstką ciała. Usłyszałam kroki Księdza, który jak zwykle chciał przeprowadzić proceder tak zwanej pobudki. W skrajnych przypadkach oporu potrafił uciec się do użycia zimnej wody. Wcale nie miałam ochoty na mrozący prysznic, więc mobilizacja sił przysłała natychmiast. Usiadłam na materacu (aczkolwiek wymagało to nadludzkiego wysiłku) i lekko się chwiejąc zaczęłam ziewać, przeciągać się, przecierać oczy

itp. Od biedy mogło to wyglądać jak próba wstawania. Ksiądz przez pewien czas rozmawiał z chłopakami, po czym postanowił sprawdzić, jak przyjęły fakt pobudki dziewczyny. Od razu rzuciłam Mu się w oczy. Jak mogłam tak „wpaść” ostatniego dnia! Żeńska większość była już na nogach w pełnym umundurowaniu, więc ze zrezygnowaniem wypatrywałam białego kubka z ciecżą za plecami Księdza. Wzrok niezbitcie wskazywał, iż nic takiego nie ma, a przy tym Ksiądz rozdaje wszem i wobec promienne uśmiechy. Ja, z lekkim zakłopotaniem, również się uśmiechnęłam. Ksiądz wyszedł. Za dziesięć minut byłam już gotowa, by uporać się z trudnym dzisiejszym dniem.

Całą wrzawę związaną z porządkami na wielką skalę, poprzedziła Msza Św. i ostatnia medytacja. Temat, jak na koniec rekolekcji brzmiał bardzo wdzięcznie a przede wszystkim budująco „CYWILIZACJA MIŁOŚCI NIE JEST UTOPIĄ” (!!!). To w ramach przypomnienia, byśmy nie poprzestali na tym, czego dokonaliśmy podczas. Z ust Kaliny wyszły m.in. zdania:

- *Smak miłości poznaje się, gdy zaczyna się czas ofiary.*

- *Martwa jest wiara bez uczynków.*

Oraz:

- *Trzeba zostawić to wszystko, w czym nie ma miejsca dla Jezusa.*

Potem pomodliliśmy się razem. Wiedziałam, że po powrocie do domu najbardziej będzie brakowało mi właśnie tych spontanicznych wspólnych modlitw. To miał być największy cios...

Wiele podjętych działań w tamten poniedziałek, mogło nosić przydomek „ostatnie”. Zjadaliśmy więc ostatnie śniadanie. Ostatnie kanapki znikwały z półmisek, ostatni raz żartowaliśmy dławiąc się kawałkami chleba i tak dalej. Natomiast po raz pierwszy przyszło nam się ze wszystkim (i wszystkimi) żegnać. Tuż po rannej konsumpcji, korzystając z okazji, że byliśmy w komplecie, zaśpiewaliśmy sześć zwrotek podziękowania dla Księdza na góralską melodię „Pobłogosław Panie z wysokiego nieba...”. Na szczęście obyło się bez wodospadu łez.

Wielkie sprzątanie zajęło nam o wiele mniej czasu, niż wcześniej przewidywaliśmy! Co prawda uwijaliśmy się jak mrówki, ale dzięki temu udało się wygospodarować więcej wolnego czasu na ostatnią wspólną konwersację. Salon sypialny lśnił czystością, korytarze i łazienka również. Bagaże zaś spokojnie czekały w kuchni, aż je ktoś później załaduje. Zyskaliśmy od jednej do dwóch godzin, w zależności, kto jakim wracał środkiem lokomocji. Nie ciążyły już na nas żadne obowiązki. Pod zielonym daszkiem obok plebani wspominaliśmy między sobą najmiłsze przygody i robiliśmy pamiątkowe zdjęcia. Wskazówka mojego zegarka znajdowała się gdzieś pomiędzy jedenastą a dwunastą. Słońce jaskrawo oświetlało nasze roześmiane lica, ale jednocześnie nie potrafiłam określić precyzyjnie swojego samopoczucia. Jak na przekór wkradł się w nie ledwie dostrzegalny odcień melancholii. Nigdy nie przepadałam za zakończeniami (no chyba, że roku szkolnego..)

Ksiądz zakomunikował, iż od dwunastej będzie odwoził ratami do Parczewa podróżników żądnych wrażeń autobusowych. Zbliżało się południe. W powietrzu dawało się wyczuć małe napięcie. Co chwila ktoś inny sprawdzał, czy bagaże zawierają to, co powinny. Wałęsałam się z kąta w kąt nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Ciało pogodziło się już z faktem odjazdu, tylko duszę nadal targały rozterki.

Jechałam samochodem od półgodziny wraz z Kasią, Agnieszką i Natalką. Wbrew przepisom niemal bez przerwy zagadywałyśmy kierującego pojazdem Księdza. On nas zresztą też! Ostrożnie podsunęliśmy naszemu kochanemu kierowcy w sutannie kilka uwag i sugestii odnośnie przeżytego rajdu. Ksiądz obiecał, iż weźmie je pod uwagę przy planowaniu następnego przedsięwzięcia.

Potem wyciągałyśmy na światło dzienne prawie wszystkie wspaniałości będące naszym udziałem przez ostatnie dziesięć dni nie kryjąc zadowolenia z udanych rekolekcji.

Siedlce powitałyśmy w doskonałych nastrojach. Inauguracja wakacji wypadła fenomenalnie! Mieliśmy jeszcze prawie dwa miesiące do dyspozycji, rozbudzoną chęć aktywności, wyrobioną kondycję oraz pokaźny zapas energii i siły wewnętrznej! Byliśmy przy tym solidnie umocnieni na duchu.

Najważniejszy cel wyjazdu został osiągnięty – wypłynęliśmy na głębie!

Smutek towarzyszący pożegnaniu gdzieś przepadł i rozpromieniliśmy się wielką radością. Chciałam zarażać nią wszystkich dookoła, absolutnie wszystkich! Oby wszystkie finisze mojego życia były tak szczęśliwe.

A teraz w ramach zakończenia podpisuję się pod słowami piosenki Arki Noego:

„to dla mnie świeci słońce
to dla mnie jest pogoda
bez Ciebie zawsze nuda
a z Tobą jest przygoda”, Panie

Niech wakacje trwają cały rok!!! Życie potrafi być piękne!

Stella

2. RAJD PIESZY – „STELLA MARIS”

Dnia 29 kwietnia ekipa rajdowców z naszej szkoły wyruszyła na podbój „polskich morskich wysp”.

Ok. godziny 20.00 staliśmy na PKP-ie gotowi na podjęcie dalszych kroków, mianowicie na ulokowanie się w pociągu. Zmieściliśmy się w 4 przedziałach //kolejno 5 osób; 3 os.; 6 os.; 7 os.// Pociąg ruszył ok. godz. 20.33 prosto do Szczecina. A w nim każdy robił coś innego: - w jednym dziewczyny wspominały dawne czasy, - w innym rozkręcała się gra w karty, jednak nie trwała długo. Ksiądz z Siostrą opracowywał plan bezpiecznego zwiedzania, a reszta jadła kanapki i prowadziła „niemieckie rozmówki”.

W drodze dołączyli do nas marynarze powracający na służbę. Opowiadali o wojsku i marynarce, (...o guzikach z resztą też ...). Prowadzili zacięte dyskusje z moimi współtowarzyszami z przedziału i opowiadali przeróżne dowcipy. Większość osób próbowała się zdrzemnąć, ale im to nie wychodziło.

WTOREK - 30 KWIETNIA

W Szczecinie (5.20) nastąpiła przesiadka na pociąg osobowy do Międzyzdrojów. Kiedy wysiedliśmy ostatecznie z pociągu, to ruszaliśmy w kierunku morza, a dokładniej w

kierunku słynnego polskiego hotelu Amber Baltic. Po drodze mijaliśmy prześliczne i zadbane parki („ścieżki zdrowia”). Dochodząc do hotelu mieliśmy okazję podziwiać odciski dłoni sławnych Polaków.

Następnie udaliśmy się nad samiuśki brzeg morza. Każdy był zadowolony na widok dużej ilości wody. Zapewne niektórzy z chęcią wskoczyliby do Bałtyku nawet i w ubraniu. Musieliśmy ruszać dalej, aż do Świnoujścia brzegiem morza. Szło nam się dobrze pomimo wzmagającego się wiatru. Po chwili deszczyk, deszcz i każdy ratował się jak mógł foliową narzutką (tzw. płaszczem przeciwdeszczowym). Ale i tak każdy był mokry. Po drodze mijaliśmy przedziwne stworzenia lub pozostałości po nich. Którąś z Kaś obsiusiała małża (niemożliwe, co?). Ktoś inny liczył zdechłe rybki (Gosia naliczyła 3 zwłoki i zebra kuropatwy). Niezapomniany moment to przejście po trupach mięczaków. A było ich tyyyyyyylllee! Książd podkreślił słowa: „trupcy mięczaków” w aluzji do nas samych, a raczej naszego wyczerpania. Tak czy owak zatrzymaliśmy się na brzegu falochronu. Ci, co chcieli udali się po nim w głąb morza, łącznie 2 km. Reszta, która została, miała okazję do spożycia posiłku. Niektórym strasznie dokuczał wiatr, dlatego zbudowali sobie z plecaków wiatrochron. Przed nami były kolejne kilometry prowadzące tym razem przez las, prosto do latarni morskiej. Po drodze mijaliśmy ruiny XIX-wiecznej fortecy. Mieliśmy ją zwiedzać, ale przy wejściu stał napis „zakaz”. Zrzuciliśmy z pleców nasze „wielbłądzie garby,, (nasze bagaże) i ruszyliśmy na podbój spiralnie zbudowanych schodów latarni. Ja, Nina i Emilka troszkę się spóźniłyśmy (?) ...reszty ekipy już nie było. Zorientowałyśmy się, że pewnie są już na górze, więc zaczęłyśmy ich gonić. A wyglądało to tak: najpierw bieg „co dwa stopnie”, po setnym stopniu złapałyśmy się za ręce tworząc sznureczek, potem skorzystałyśmy ze wszystkich kończyn danych nam przez Pana Boga i wchodziłyśmy na czworaka. Opłacało się bardzo!

Niestety czas szybko upłynął, a my musieliśmy schodzić. W sklepie z pamiątkami Książd dopytał się o możliwie jak najkrótszą drogę do promu. My w tym czasie wpisaliśmy się do księgi pamiątkowej, a co niektórzy do inwentarza (!?).

Chcąc dojść do promu musieliśmy ominąć ogrodzone tory. Szliśmy i po wytyczonej ścieżce i po piachu (straszny piachu!). Droga się trochę dłużyła, a było to i tak na skrót. Przeszliśmy przez szyny (w miejscu już nieogrodzonym) i doszliśmy do mostku. Tu kończył się skrót. Dalej - już chodnikiem, przez cywilizowane miasteczko nazwane Świnoujściem – prosto do przystani promowej. Na szczęście byliśmy na czas i kolejny prom odpłynął razem z nami. Według mnie płynęło się fajnie pomimo podmuchów wiatru, a był to mój pierwszy raz! Jedynie biedna Gosia miała chyba chorobę morską ...

Jakie było szczęście, gdy znaleźliśmy się na drugim brzegu. Teraz tylko wystarczyło dojść do miejsca noclegu. Oczywiście dotarliśmy tam (przed 15.00), według planu, cali i zdrowi, jednak wyczerpani dniem. W końcu przeszliśmy ok. 15 km!

Mieliśmy spać w internacie. Było w nim bardzo przytulnie. Mieścił się vis a vis kościółka p.w. Matki Bożej „Gwiazdy Morza” – stąd między innymi nasz rajd, został nazwany „Stella Maris”. Jest to najstarszy kościół rzymskokatolicki w Świnoujściu, zbudowany w 1896 roku przez Polaków.

Nie mogliśmy się rozpakować od razu, ponieważ czekaliśmy na „rozkład pokojów”, a dokładniej na rozmieszczenie nas w pokojach. Brakowało chyba ze dwóch łóżek, nasi mężczyźni – jak to na nich przystało – zajęli się ich dostarczeniem. Chwilowe zamieszanie troszkę potrwało, ja korzystając z okazji nieświadomie zdrzemnęłam się. Po ulokowaniu się, każdy miał wolny czas. Rozpoczęły się masowe wędrówki do sklepów i zapoznanie się z miastem.

O godzinie 17.00 odbyła się pierwsza Msza święta z naszym udziałem we wcześniej już wspomnianym kościółku. W środku było bardzo ładnie i można powiedzieć – skromnie. Ku naszemu zdziwieniu nabożeństwo trwało niecałe 30 min.

Następną naszą wspólną czynnością miało być przygotowanie kolacji. Najpierw trzeba było zrobić zakupy, po które i ja miałam okazję się udać. A było to zadanie niemałe! Musiałyśmy znaleźć sklep z pieczywem i warzywniak. (Trochę się zeszło). Reszta osób, które zostały w internacie cierpliwie czekały, przygotowane do robienia kanapek. Po naszym powrocie zabraliśmy się do pracy, a idealnym przysłowiem pasującym do tej sceny było: "Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść". My jednak, pomimo nadmiaru kucharek, no i kucharzy, mieliśmy co jeść!

Niestety, byłam na tyle zmęczona, że przespałam kolację. Wstałam dopiero ok. 20.30 i nadrobiłam zaległości. W czasie mojego snu moi koledzy i moje koleżanki znaleźli sobie chwilę rozrywki. Grali w koszykówkę pożyczoną piłką. Nie wiem kto wygrał, ani jakie składy tworzyli. Po tej grze drużyna składająca się z chłopaków grała w nogę z jakimiś starszymi panami. Chyba się dobrze ubawili.

Po wszystkim nadszedł czas kąpienia i spania. Łazienki były dwie, a między nami wtórowało hasło: „kobiety mają pierwszeństwo”. Nikomu się spać nie chciało (za pewnymi wyjątkami). Postanowiliśmy sobie pośpiewać. Błażej grał na gitarze, a co raz to inne osoby próbowały jemu dorównać. Było świetnie i przy okazji mogliśmy się bliżej poznać.

ŚRODA - 1 MAJA

Następny dzień rozpoczął się donośnym biciem dzwonów trwającym od godz. 6.00 gdzieś ok. 5 minut. Straszna pobudka! Musieliśmy wstawać, umyć się i pościelić łóżeczka. Jak zwykle w łazienkach były kolejki, dla naszego pocieszenia mniejsze niż wczoraj.

O 7.00 miała się zacząć „nasza” Msza Święta. Stawiliśmy się na czas, ale musieliśmy trochę poczekać, bo poprzednia msza się przedłużyła. Po nabożeństwie było śniadanie (ok. godz. 8.00) tym razem na stołówce, przygotowane przez kucharkę z prawdziwego zdarzenia. Mieliśmy ok. 30 minut na umycie zębów i naszykowanie się na wyprawę.

Gotowi do drogi ruszyliśmy o 9.15. Do portu doszliśmy trochę inną drogą niż wczoraj wracaliśmy. To było celowe ponieważ, Ksiądz zaprowadził nas do najstarszego kościoła, ale tym razem budowanego przez protestantów, dziś katolickiego. Różnica: miejsce na chór było nie tylko z tyłu, lecz na około pomieszczenia; na wprost znajdował się ołtarz; chyba było mało ławek... A dla ciekawości powiem, że pod sufitem wisiała łódka! Nie wiem w jakim celu, ale tam była(!?). Z dołu można było ją przeoczyć dlatego, bo na tle sufitu była słabo widoczna. Ach, to był żyrandol w kształcie statku!

Chwila spędzona w tej świątyni napoiła nas wieloma wrażeniami zmysłowymi, a przede wszystkim duchowymi. Szybko się jednak skończyła i musieliśmy się zbierać. Udaliśmy się już do portu. Prom jednak był dopiero na drugim brzegu. Poszliśmy więc do sklepu, gdzie mieliśmy okazję kupić sobie pocztówki lub cokolwiek innego. W końcu doczekaliśmy się wejścia na długo oczekiwany „pojazd wodny”. Podróż trwała ok. 20 min. i była bardzo przyjemna, nie licząc oczywiście rozdmuchującego nas wiatorku.

Celem dzisiejszego dnia był Woliński Park Narodowy z wystawą Orła Bielika na czele. Chcąc rozpocząć zwiedzanie, musieliśmy dotrzeć do Międzyzdrojów. Ksiądz w międzyczasie dogadał się z kierowcą busa i dwóch osobowych taksówek, że nas zawiozą. Zadowoleni wsiedliśmy po cztery osoby do samochodów, a aż 13 załadowało się do busa, według woli kierowcy! (Jechałam w busie). Kiedy mijaliśmy dworzec portowy, pan kierowca busa nagle kazał wszystkim szybko wysiadać twierdząc że „tam” stoi policja. To był dla nas wielki znak zapytania i oczywiście ogromny szok! Podczas wysiadania kierowca wyciągał nas prawie siłą. W samochodzie został Magdy plecak, gdy pan już odjeżdżał

Magda „dogoniła” go, a on rzucił jej plecak przez okno i znikł. Kulturka, co?

Po dosłownie kilku minutach zamieszania i zadziwienia, bus zawrócił i kierowca ponownie namawiał nas do przewozu. Tym razem na dwie raty. Udało się to jemu wyjątkowo! Znalazłam się w drugiej turze przewozowej. Czekałszy zatem na dworcu promowym – ja, Gosia, Bartek, ks. Jarek... (Gdy część była już na miejscu, my dopiero ruszaliśmy. A czas naszego „startu” był równiutki: 11.11.11. To tylko przypadek?!?)

Jak już wcześniej wspomniałam, najpierw planowaliśmy odwiedzić Orła Bielika, a nawet dwóch. Niestety, były one zamknięte w przeogromnej klatce. Nie mogliśmy więc podziwiać ich z bardzo bliska. Przy klatce odbyła się sesja zdjęciowa.

Ustawieni chwilowo czekałszy, żeby orzełek znajdujący się za nami odwrócił głowę w stronę aparatu. Pokazał jednak tylko jedną stronę swojej główki. Misiak zaś jak zwykle próbował uniknąć sfotografowania swojej twarzy.

Dalej czekał na nas zielony szlak prowadzący do Rezerwatu Żubrów. Szliśmy po mięciutkich ścieżkach, często wyłożonych liśćmi. Pomimo długich kilometrów, nasza leśna wędrownica szybko się skończyła. Dotarliśmy do pokazowego rezerwatu Wolińskiego Parku Narodowego. Spotkaliśmy tam kilka żubrów, niestety tylko jeden z nich pokazał się nam z bliska, reszta spała; dziki (po niemiecku Wildschwein – jak można było przeczytać na tablicy informacyjnej), a także widzieliśmy sarenki odwrócone do nas tyłem. Mieliśmy duże pole do popisu przy robieniu fotografii (Tutaj popisał się Błazej robiąc zdjęcia zwierzętom). Wychodząc z rezerwatu obserwowaliśmy (fakt, że nie wszyscy) walkę dwóch dzikich świń. Złapały się za kły i targały na około. Jak to się skończyło to ja już nie wiem, ponieważ po sprawdzeniu czy są wszyscy, wyruszyliśmy dalej.

Kolejnym obiektem, który mieliśmy zwiedzić było jezioro Czajcze i Wydry Głaz (miejsce wylegiwania się wydr). Kilka fotek z głazem w roli głównej, a tu jak gdyby nigdy nic, zaczął padać deszcz. I znowu czekał nas las i świeże powietrze. Idąc ścieżką coś „myknęło” przed Gosią i zatrzymało się gdzieś w ściółce leśnej. Parę ciekawskich osób próbowało rozstrzygnąć, co to było. Wnioskowali, że była żmija (to zwierz, co robi psssssss...). Gdzieś dalej było widać drugą. Zostawiając je w spokoju skierowaliśmy się w stronę Wisёлki – niewielkiej osady turystycznej. Tam postanowiliśmy zjeść „obiadek”. Najpierw zaś poszukaliśmy wolnego stolika i ławki, gdzie można, jak na turystę przystało, godnie zjeść. Głodni szykowaliśmy kanapki i konsumowaliśmy je popijając colą. Co chwilę ktoś opowiedział dowcip. Czas jak zawsze za szybko zleciał i musieliśmy, wbrew niechceni wędrować dalej. Po wyjściu z wszechogarniającego buszu ujrzeliśmy ...morze i nachylone nad nim pod kątem 90 stopni wybrzeża klifowe. Szło się lekko, gdyż delikatna bryza muskała nasze twarze. A do końca szlaku pozostało ok. 5 km. Charakterystyczny wyłożony kamieniami brzeg utkwiał w pamięci każdemu z nas.

Kamienie przy samym brzegu odróżniały się od innych zielonym „osadem”. Stwierdziłam, że jest to raczej sierść. Niektórzy mówili, że są to głowy ludzi utopionych i wyrzuconych przez morze (ciekawostka: miały przedziałki). Kilka odważnych osób wędrowało na bosaka. Kutry rybackie były znakiem rychłego dotarcia do celu. Już nawet poczuliśmy, że jesteśmy blisko (specyficzny rybny zapach dolatujący ze smażalni). Jeszcze w drodze ksiądz zatelefonował po nasz ulubiony środek lokomocji - busa. Przyjechały punktualnie, aby zawieźć nas do domu.

„...zabierzesz mnie na drugi brzeg...” słowa piosenki Arki Noego można było skierować do promu dobijającego do naszego brzegu Świnoujścia. „Nareszcie w domu i nareszcie jedzonko” – wzdychał przeważnie każdy. Za nami było ponad 20 km marszu!

Po kolacji był obiecany czas wolny. Różnie organizowaliśmy sobie czas - myślę, że to w dużej mierze zależało od wyobraźni. Ja i moja trupa wybrała wieczorny spacer nad morze. Coś wręcz nieopisanego i niech żałuję ten, kto nie tego nie doświadczył! Wyludniona plaża to był znak, że mogliśmy poszaleć w przyplwywie energii. Po powrocie z ożywczego

spaceru już tylko każdy mógł zająć miejsce w kolejce do łazienki, a potem – spaaaaać. Nie mogłabym nie wspomnieć o jakże ciepłej (nawet romantycznej) atmosferze w moim pokoju. Dzięki Kasi G. i jej świeczkom stworzyliśmy prawdziwe „domowe ognisko”.

CZWARTEK - 2 MAJA

Godzina 6.45 – pobudzeni dźwiękami zegarka zwlekliśmy się z łóżek. Dzisiaj bowiem czekało na nas kilka miasteczek niemieckich do zwiedzenia. Trzeba było zrobić kanapki na drogę. Ja i Agnieszka jako ochotniczki poszukiwałyśmy w sklepach woreczków śniadaniowych, których nigdzie nie było. Zdyszane wróciłyśmy prosto na śniadanie. Niestety, ja i Nina nie miałyśmy paszportów, więc nie mogłyśmy popłynąć statkiem do Alhbecku ze wszystkimi i po śniadaniu zostałyśmy same.

Początkowo nie wiedziałyśmy, co robić. Słuchałyśmy radia, czytałyśmy gazety i jadłyśmy maślane ciasteczka. Ksiądz zaplanował nam na ten dzień indywidualną trasę. Jednak z różnych przyczyn powiedział, że nie musimy się jej trzymać. Oczywiście mapa została u nas.

Postanowiłyśmy ją jednak zrealizować. Naszykowane wyruszyłyśmy ok. 9.50 na Karsibór (trzecią wyspę Świnoujścia). Ledwo co zdążyłyśmy na prom - kiedy na niego wbiegałyśmy, prawie odpływał! Następnie zatrzymałyśmy się na dworcu portowym. Nie mogłyśmy się połapać, w którym miejscu dokładnie się znajdujemy. Zwróciłyśmy się o pomoc do strażnika. On jednak zamieszał nam jeszcze bardziej w głowach. Stwierdził, że jesteśmy na innym brzegu niż w rzeczywistości. W końcu zrezygnowałyśmy z tej wycieczki. Po chwili przypomniało się nam o niezwidzanej XIX - wiecznej fortecy. Droga była w odróżnieniu od tamtej prosta, bo oznakowana. Twierdza znajdowała się obok latarni, tej z pierwszego dnia. Wtedy nie mogłyśmy przyjrzeć się jej z bliska - przed wejściem stały szlabany z drzewa i z drutu kolczastego. Teraz było identycznie. My jako sprytnie dziewczynki precyzyjnie przeszłyśmy na drugą stronę i zaczęłyśmy realizację swoich zamierzeń. Chodziłyśmy przez różne bramy, docierając nawet na dach fortecy, skąd było widać fosę. Do środka jednak nie wchodziłyśmy. W budowlu widoczne były liczne otwory duże i małe (Zapewne stanowiły okna i drzwi). Pod wielkim wrażeniem poruszałyśmy się w trudnych warunkach czytając każdą tablicę informacyjną. Po przejściu wszystkich ścieżek wróciłyśmy przed wejście. Siedząc na jakichś workach zajadałyśmy się obiadem, aż tu nagle podjechał podejrzany samochód. Trochę się zdziwiłyśmy kiedy pani wysiadająca z auta powiedziała do nas „smacznego” i dodała „Dlaczego nie weszłyście do środka?”. Nazwała nas „dinozaurami”, a to dlatego, że posłuchałyśmy się znaku zakazu i nie przekroczyłyśmy szlabanu. Mówiła bowiem, że jest już mało takich ludzi stosujących się do zasad. Jak się okazało, ci Państwo byli odpowiedzialni za renowację zabytku. Zaprosili nas do środka. Sympatyczna pani zagadała chwilę z nami, dała latarkę i zezwoliła na chodzenie wszystkimi korytarzami budowli. Poczuliśmy się wielce zaszczycone. Wchodząc przez pierwszy „otwór” wyszłyśmy drugim, na górze! Wszędzie było pełno gruzów i wilgoci. Błądzenie po zakamarkach niekiedy zupełnie ciemnych, było fajnym doświadczeniem. W jednym pomieszczeniu znajdowały się ogromne łuski po nabojach. W głównym budynku przeszłyśmy po kręconych schodach i po kładce „nad przepaścią”. (Przez tę dziurę wnoszono działa na drugi poziom). Na szczęście żadnej z nas się nic nie stało. Wychodząc serdecznie podziękowałyśmy i zostawiłyśmy tym ludziom ciasteczka do przegryzienia.

Trochę zmęczone podsumowywałyśmy naszą przygodę. Dostaliśmy sms`a, że pozostali już wrócili. Byli pierwsi od nas i to przed 15.00 ! Niektóre sklepy po drodze stały się obiektami naszych odwiedzin. Już na miejscu na świeżo podzieliłyśmy się wrażeniami z Księdzem i kilkoma osobami (reszta się rozeszła). Mogłam teraz spokojnie

sobie odpocząć.

Ok. godz.17.45 miała być kolacja, ale nie mieliśmy klucza do pokoju z pieczywem i innymi zakupami – czyli do pokoju Księdza, aby wieczere przygotować! On zaś z kilkoma osobami poszedł na spacer nad morze. Emilka wysłała Księdzu sms`a o treści następującej : „Przydałby się chleb na kolację – DRUŻYNA PIERŚCIENIA”. Szybko pojawił się Ksiądz! Przygotowaliśmy posiłek, który niestety musiał na nas czekać, bo najpierw poszliśmy na Mszę Św. i majówkę. Po powrocie kanapki szybko znikły i mogliśmy iść pożegnać morze. Szliśmy przez park. Kiedy dotarliśmy nad morze, było już dosyć ciemno. Naszym celem stał się słynny wiatrak – Młynek - symbol Świnoujścia. Strasznie wiało, ale dzielnie powróciliśmy do domku.

Dzisiejszy wieczór (a raczej noc) pragnęliśmy spędzić na medytacji. Jeszcze przed rajdem Ksiądz rozdał nam materiały do rozmyślań, poświęconych Maryi. Składały się z czterech części, a pod każdą znajdował się znak graficzny. Ksiądz wymyślił także „nasz” znak. Służyły one do ilustrowania tajemnic wiary. Każdy może je interpretować na własny, osobisty sposób. Rozważaliśmy, zatem dane teksty, śpiewaliśmy pieśni, oraz skierowaliśmy do Pana słowa swojej modlitwy. Było cudownie!

Nie wiem jak inni, ale ja szybko zasnęłam, po całym dniu pełnym wrażeń.

PIĄTEK - 3 MAJA

I znowu ta pobudka! Aż o 6.30! A to dlatego, bo dzisiaj kończymy swój pobyt w internacie. Trzeba było się spakować, no i zostawić po sobie porządek. Naszykowaliśmy sobie odpowiedni ekwipunek na drogę (kanapki) i poszliśmy na stołówkę na śniadanie. Mogliśmy uczestniczyć po raz ostatni we Mszy Świętej w kościółku p.w. Stella Maris. O 10.00 ruszyliśmy. Z całą pewnością każdy z nas chciałby jeszcze tu zostać.... (chwila wzruszenia) Ale życie toczy się dalej, a „wszystko co najlepsze jeszcze przed nami”!- jak mawia zawsze Ksiądz.

Na drugiej stronie czekały na nas dwa busy, które miały zawieść nas nad jezioro Turkusowe. Wysiedliśmy jednak wcześniej, aby móc podziwiać resztki hitlerowskich wyrzutni rakiet V1, czy V2 ?

Aby dostać się na górę, trzeba było wejść po stromym zboczu. Chętni wdrapali się i pstryknęli kilka fotek. A teraz na dół! Przynajmniej było łatwiej schodzić niż wejść. Niektórzy (imię zostanie zatajone) nabywali niebezpiecznych prędkości, co powodowało upadki, ale nikomu się nic złego nie stało. Stojąc już na dole poszukiwaliśmy niebieskiego szlaku. Ktoś zauważył, że na drzewach znajdujących się na szczycie były oznaczenia trasy, której szukaliśmy. Ponownie trzeba było się wdrapywać! Już trzymając się szlaku szliśmy przez lasy. (A szło się nam lekko, ponieważ busy zabrały nasze plecaki). Ścieżki były wyłożone ogromem liści, na dodatek strasznie kręte znajdowały się na bardzo zróżnicowanym podłożu.

Trochę się zagubiliśmy, kiedy nigdzie nie było oznaczeń. Chcieliśmy dojść do jeziora Turkusowego. Błażej i Agnieszka pobiegli do najbliższej chatki i zapytali o drogę. Okazało się, że musimy kawałek zawrócić. Do punktu widokowego prowadziła pewna imitacja schodów. Na miejscu mogliśmy podziwiać przepiękny widok nie tylko na jezioro, ale także na dalsze obszary. Po krótkiej sesji zdjęciowej udaliśmy się do Lubina - najbliższej miejscowości, gdzie pod kościółkiem zjedliśmy obiadek. Dobrze, że nie zdmuchnęło nam kanapek! – tak strasznie wiało.

Teraz czekał na nas Wolin. Droga do niego strasznie się dłużyła, ponieważ prowadziła cały czas prosto, na skręty, a dokładniej wzdłuż drutów energetycznych, które wytyczały szlak. Ścieżka ta przypominała wzgórze i doliny ułożone na przemian. Było

to na otwartej przestrzeni, więc słońeczko nam przypiekało (a raczej nas!), aż wreszcie doszliśmy do asfaltu. Tam było choć o ociupinkę łatwiej iść. Każde 100 m było zaznaczone na specjalnych słupkach. I tylko się liczyło.....

Za potrzebą zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, a po chwili odpoczynku przemierzaliśmy kolejne kilometry w stronę Wolina. Było ich coraz mniej. Na PKP-ie (już na miejscu) dowiedzieliśmy się, o której mamy pociąg. Wtedy przyjechały nasze bagaże. Mieliśmy jeszcze dużo czasu, więc postanowiliśmy dotrzeć do „Wzgórza Wisielców”. Znajdowało się ono na starym cmentarzysku Wolinian. Wracając zatrzymaliśmy się na ławeczkach i przysłuchując się śpiewom (tego dnia był festyn) - odpoczywaliśmy.

Potem z powrotem na PKP. Rozsiadliśmy się po całym pomieszczeniu dworcowym. Niektórzy sobie spali lub rozmawiali, większość się wygłupiała i rechotała. Ja zaś razem z Niną słuchałam radia i podjadałam Agnieszce lody.

W odpowiednim czasie poszliśmy na peron. Ustawieni w kółku opowiadaliśmy sobie dowcipy. Śmiesznie wyszło, bo na środku kółka znalazła się nieświadomie nasza butelka z colą, nieodzowny towarzysz naszych podróży!

W pociągu siadaliśmy, tam gdzie mogliśmy. Zachowywaliśmy się rozbajająco. Misiek pokazywał nam swoją komiczną pantomimę z udziałem swojej prawej ręki w roli głównej. Dawno się tak nie uśmieiałam jak teraz, zapewne inni też! U Milki w komórce zważyliśmy, że jesteśmy już w Szczecinie. Jednak zanim wysiedliśmy minęło, jeszcze trochę czasu. Było ok. 21.00.

Pociąg ze Szczecina do Siedlec mieliśmy dopiero o 23.20. Po ustaleniu wszystkich formalności rozeszliśmy się, kto gdzie chciał. (Nikt w pojedynkę!) Udałam się jak większość na herbatę i zapiekanki. Postanowiłam z Kasią K. i Pawłem S. spacerować się po dworzec. Doszliśmy do przejścia nad torami. Stamtąd podziwialiśmy widoczne budowle Szczecina lub tylko ich fragmenty (np. wieżyczki kościoła albo jakiegoś ratusza). Dworzec był blisko rzeki Odry, poszliśmy więc popatrzeć sobie na nią. Przy okazji nakarmiliśmy dwa łabądky i kilka kaczek. Żeby być bliżej zwierzątek, zeszliśmy na taki balkonik. Ale trzeba było wracać. Chodziliśmy jeszcze tak we trójkę po dworcu. Zatrzymaliśmy się przy mapie Europy i „ścigaliśmy się” o to, kto zna więcej stolic. (Takie małe powtórzenie przed moim sprawdzianem).

Pociąg przyjechał na peron i musieliśmy się zbierać. Zmartwiliśmy się, kiedy nie było nigdzie widać paru osób. Ale już wkrótce wszystko wróciło do normy i rozsiadliśmy się w czterech przedziałach. Od razu padłam zmęczona spać. Co raz się przebudzałam. W moim przedziale osoby rozmawiały lub także spały. Milka tymczasowo grała na gitarze. W Warszawie ocknęłam się na dobre. Śmieliśmy się z najdrobniejszych rzeczy, a przede wszystkim wspominaliśmy rajd.

Czas szybko upłynął... Agnieszka i Paweł wysiedli jako pierwsi, bo już w Mińsku. Reszta z pociągiem rozstała się w Siedlcach, jedynie Błażej pojechał prosto do Terespoła.

Trudno było nam rozstawać się po paru wspólnie spędzonych dniach.

Bardzo mile wspominałam ten rajd i będę wspominać go długo, nie tylko w kontekście krajoznawczym, ale przede wszystkim duchowym...

Natalia

3. KURACJA ODCHUDZAJĄCA

To była chyba najlepsza kuracja odchudzająca, jaką udało mi się przejść. Udało! Podkreślam, że mi się udało! I nawet wszyscy przeżyli... I nawet nie było aż tak strasznie... Nie, wcale nie było strasznie, tylko...

Zaczęło się siódmego lutego. Szesnastoosobowa grupa ochotników, którzy zgłosili się do tego dobrowolnie, jak jeden mąż stanęła na dworcu kolejowym. Była godzina siódma rano. Na twarzach młodzieży rysowało się... niewyspanie. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, co ich czeka.

W końcu przyjechał pociąg. Matki poubierane na czarno, ze łzami w oczach zegnały swoje pociechy. Białe chusteczki powiewały na lekkim mrozie. Ostatni raz spojrzeliśmy przez okna na nasze rodziny i pociąg ruszył.

Porozsadzano nas po różnych przedziałach. „To dlatego, że jest mało miejsca” tłumaczył ksiądz (my i tak wiemy, że był przebrany)- nasz opiekun i przewodnik.

- Dobra, dobra... Chcą nas rozdzielić!- krzyczała jedna z dziewczyn.

- Ależ nie. Oczywiście, że nie. Przecież nie mogą nam tego zrobić.- starała się ją pocieszać inna.

- Niestety obawiam się, że mogą- wtrąciła beznamiętnie trzecia.

Tej było chyba zupełnie obojętne, co się z nią stanie.

- Zrobią to!- panikowała pierwsza.

- Ale jesteś okropna- skarciła druga trzecią- Nie widzisz, że ona się boi? Mogłabyś mi pomoc, a nie wprowadzać dodatkowe zamieszanie!

Tamta obojętnie wzruszyła ramionami.

- A mi to wszystko styka.- odrzekła dalej nie zdradzając najmniejszych nawet emocji.- Mam deprechę i wszystko mi jedno, co się jeszcze z nami stanie. Mogłaby mnie nawet porwać Buka z „Muminków”.

Wtedy jeszcze nie wiedziała, że to jej podświadome pragnienie wkrótce się spełni...

- Ale to wcale nie znaczy, że możesz się tak zachowywać!- nie dawała jej spokoju pierwsza.

No i kije beysbolowe poszły w ruch...

Wysiedliśmy w Częstochowie, gdzie poddano nas kolejnej próbie. Tym razem nie była to próba na wytrzymałość psychiczną, ale na wytrzymałość fizyczną. Musieliśmy załadować na siebie ogromniaste i nieziemsko ciężkie plecaki, a potem wędrować z nimi prawie aż na samą Jasną Górę. Wprawdzie dzień przed wyjazdem miałam okazję włożyć go na swoje wątłe barki, lecz nie wypadłam najlepiej. Skompromitowałam się przed całą rodziną, która obgryzając paznokcie z przejęcia, w niepewności obserwowała moje wysiłki. No a ja zaplątałam się w niewygodne szelki... Stoję... Minęła sekunda... Następna... i... Aaaaaaaa!!! Lecę! Bagaż pociągnął mnie do tyłu. Myślałam, że sobie poradzę, bo niby, po co od dziesięciu lat wytrwale trenuję, nosząc do szkoły zupełnie zbędny tobiół z książkami? Ale... nie poradziłam sobie.

Gdy w pocie czoła wędrowaliśmy przez zatłoczone miasto, poczułam się nieco spokojniejsza, bo nie byłam jedyną z takimi problemami. Zaczepialiśmy kierowców, prosząc, by nas podwieźli. Nic. Zaczepialiśmy przechodniów, proponując zapłatę za pomoc w dźwiganiu plecaków. Uciekali. Wreszcie - w akcie totalnej desperacji - powywieszaliśmy sobie na szyje tabliczki z napisami: „Oddam plecak i jeszcze dopłacę”. Niestety, nie znalazł się żaden jeleń... znaczy chętny.

Mieszkaliśmy w Olsztynie pod Częstochową. Hmm... Dziwne to miejsce... Działy się tam naprawdę nieprawdopodobne rzeczy... Może to wina tego, co jedliśmy na kolację?... Chociaż nie. Przecież pierwszego dnia każdemu udało się przemyścić z domu coś normalnego do jedzenia. No, ale fakt pozostaje faktem.

Klucze do pokoi ginęły w niewyjaśnionych okolicznościach, pająki włączyły do śpiwora jednej z dziewczyn, Buka pojawiła się w nocy, a jakies nieznanego pochodzenia dzieciaki biegały po korytarzach. No po prostu nie dało się spać, więc... nie spaliśmy.

Następnego dnia obudziliśmy się w znakomitych nastrojach, nie mając jednak pojęcia, co nas jeszcze czeka. Dzień zapowiadał się pięknie. Świeciło słończko, temperatura bynajmniej nie przerażała, a śnieg nie przeszkadzał w niczym, bo zwyczajnie go nie było. Wtedy wydarzyło się „to”.

Cała grupa poszła szykować śniadanie, i okazało się, że... Aaaaa!!! Trzeba jeść mielonkę!!! Aaaa!!! To było straszne! Gdy zobaczyliśmy, że to szczyt naszych marzeń, aż nogi się pod nami ugięły. Mielonka była wszędzie. Zdawało się, że przyczajona czeka za zakrętem, i za moment rzuci się na biednego człowieka.

Kilka odważniejszych osób zabrało się za szykowanie kanapek. Byli naprawdę dzielni, i naprawdę doskonale maskowali strach. Nie przyznawali się do palpacji serca. Lecz zanim otworzono pierwszą puszkę, w stołówce zapanowała grobowa cisza. „Czy ktoś odważy się zrobić to jako pierwszy?” - nie dawało mi spokoju to pytanie. Uważnie, ale też dyskretnie rozglądałam się po ludziach. Na twarzach obecnych rysowało się zmęczenie tym pełnym napięcia oczekiwaniem. Na czoła „ekipy kanapkowej” wstąpił pot.

Wtedy do akcji wkroczył ksiądz. On był najodważniejszy. Już nie raz znajdował się w takich opałach, i doskonale wiedział, co należy robić w kryzysowych sytuacjach. Podszedł

więc bliżej stołu... Emocje sięgały zenitu... Ksiądz zdecydowanym ruchem chwycił puszkę, trzy razy zapukał w denko i krzyknął: „otwierać! policja!”

I już po minucie każdy miał przed nosem kanapkę z mielonką. Przyglądaliśmy się jej podejrzliwie, bo chwilami jeszcze się ruszała... Dziwne, prawda? No, ale tak to jest, kiedy ma się odczynienia z rąbanką trzeciej kategorii - pies razem z budą.

Na deser były kanapeczki z pasztecikiem, albo z dżemikiem. Och! Rarytas! Wszyscy dosłownie się na nie rzucali. Ale nie było łatwo znaleźć je pod stertą kanapek z mielonką. Specjalnie je tak ukrywano, żebyśmy najpierw zjedli pożywne, zapuszkowane mięsko.

Po naszym dietetycznym śniadanku... Czemu jesteście zaskoczeni? Tak, tak, powiedziałam: „dietetyczne”. Wcale się nie przestyszeliście. Doprawdy nie rozumiem, czemu jesteście zaskoczeni. Przecież wspominałam już, że to eksperymentalna kuracja odchudzająca.

Tak więc po dietetycznym śniadanku udaliśmy się na zajęcia ruchowe, czyli wspinanie po skałkach.

Rzut beretem od miejsca, gdzie mieszkaliśmy, wznosił się tzw. „Jasnogórski Giewont”. Oprócz niego mieliśmy do zdobycia dwa inne krasowe wzniesienia.

Na szczęście nie kazano nam zakładać tych ogromniastych plecaków. Dla nas - zupełnie nie wprawionych we wspinaniu - byłoby to zabójcze. I tak momentami opornie szło. Z obawą patrzyliśmy na księdza Jarka, przypuszczając, że dosłownie przegoni nas po tych skałkach. „Nie, nie. No, co wy? Ja sam nie trenowałem przed wyjazdem” zapierał się, lecz w gruncie rzeczy po prostu śmigał pod górę i na dół.

Gdy ogląda się zdjęcia z tej wyprawy - oczywiście ułożone chronologicznie - można wyróżnić trzy etapy. Etap pierwszy: jesteśmy uśmiechnięci, radośni i pełni zapału. Etap drugi: szukamy sposobności, by choć na sekundę usiąść na jakiegokolwiek, malutkiej nawet kępie zeszłorocznej trawy. Etap trzeci: leżymy.

Kiedy już zostawiliśmy w tyle skałki, ksiądz zabrał nas do muzeum regionalnego, mieszczącego się w starym, zabytkowym domu. Mężczyzna, który je prowadził, był chyba w zмовie z naszym opiekunem. Chciał nas nastraszyć. Kazał wejść do starych lochów i opowiadał mrozące krew w żyłach historie. Ale my jesteśmy oporni! Nie ugniemy się przed niczym! (oprócz mielonki)

Zanim tego samego dnia ruszyliśmy na kolejny trening, przyszedł czas, by zjeść obiad. A co było na obiad? Nie, nie mielonka. (uff...) Na obiad były... uwaga... Zupki w proszku! Nieźle. A byłoby jeszcze lepiej, gdyby to coś naprawdę przypominało zupę. Ale nic z tego. Na opakowaniu czytasz: „złoty kurczak”. Otwierasz, no i szukasz tego złotego kurczaka. Szukasz, szukasz, a tu nic. Znajdujesz tylko spreparowany makaron (czy to aby na pewno jest makaron?...) do pokruszenia i jakieś dziwne, płynne substancje. No, ale nie narzekajmy; w końcu zupki nie są mielonką.

Tuż po spożyciu... posiłku oczywiście... Och, ależ Wy macie myśli... Tuż po spożyciu posiłku wybraliśmy się w poszukiwaniu jaskiń. Muszę przyznać, że wędrówki po gęstym, nieco tajemniczym lesie to naprawdę przyjemna sprawa. Te urokliwe widoki, ta cisza, ten spokój i... deszcz. Tak, złapał nas deszcz. Na szczęście w pobliżu były sterczące między nagimi drzewami skałki. Mogliśmy ukryć się w kilku niewielkich niszach i poczekać, aż przestanie padać. I tak minęła godzina, i następna, i następna... Nie, nie, oczywiście żartuję. Po dwudziestu minutach poszliśmy dalej.

Oj, już nie było tak przyjemnie. To naprawdę nic ciekawego ześlizgiwać się w dół po mokrych liściach, które w połączeniu z glebą tworzą... błoto. Niefajnie jest też zjeżdżać po obrośniętych mchem kamieniach. To spory stres, gdy patrzysz na błyszczącą od wilgoci ziemię i myślisz, że kiedy otworzysz oczy, będziesz już na samym dole. Ale nie

zapominajmy, że to kuracja odchudzająca, a podobno stres wyszczupla.

W końcu, po nieco męczącym spacerku, dotarliśmy do poszukiwanej przez księdza jaskini. Latarki poszły w ruch. Trzeba było porządnie uważać, żeby nie uderzyć się o jakiś złośliwy stalaktyt. (nie wszystkim udało się tego uniknąć...)

- Na „trzy” gasimy światło - zdecydował ktoś- Trzy! - rozległ się po chwili głos owego osobnika.

Przez moment tkwiliśmy w swoich miejscach. Z powrotem zapalaliśmy latarki i... O! Gdzie są nasze podręczne plecaki?!... Znow zrobiło się zupełnie ciemno. O! Gdzie są nasze ubrania?!... I znow - tym razem zdziwienie było największe. O! Co tu robi ten szkielet?!... Czyżby jakiś turysta zbłądził nieszczęśliwie?...

Szybko wyszliśmy na zewnątrz.

Wieczorem jedna z dziewczyn opatulila się kołdrą i pisała coś w zeszycie. Przeczytałam to... niechący oczywiście...

„Ileż buntu można tu zobaczyć... To wcale nie zmęczenie rysuje się na naszych twarzach, to wcale nie to. Gdyby chodziło o zmęczenie, pewnie każdy bez przerwy chodziłby ze zmarszczonymi brwiami- dość zmęczenia mamy na co dzień. Wydaje mi się, że zmęczenie jest po prostu prezentem od pracy, a w naszym przypadku od skałek. Prezentem, dzięki któremu wydobywamy z siebie to, co ukrywaliśmy najgłębiej i pod najgrubszym przykryciem.

To nieprawda, że wspinamy się po jakiś tam kamieniach - wspinamy się na sam szczyt naszej duszy, żeby z góry moc zobaczyć siebie takimi, jakimi naprawdę jesteśmy. Czasem jest tak, że widzimy siebie inaczej, niż w rzeczywistości wyglądamy. Bo gdyby zmniejszyć człowieka do wielkości lebka od szpilki, i posadzić go na pączku, to ten pączek wydawałby mu się płaski. A wystarczy oddalić się nieco, by poznać prawdę...

Ależ mnie od tego chodzenia giry bolą...”

Zanim trzeciego dnia wyjazdu udało nam się dostać do Krakowa, musieliśmy długo koczować na częstochowskim dworcu kolejowym. Ale nie było tak źle, jak mogłoby się wydawać. Co sprytniejszym udało się w tym czasie zjeść zapiekankę, która z pewnością nie była mielonką. Ci nieco mniej obrotni grali w karty i dyskutowali zawzięcie na tysiące różnych tematów. Poznaliśmy też bardzo miłych panów, którzy okupowali dworcową ławeczkę tuż obok nas. Jeden z nich umiłał nam upływające minuty, popisując się swoimi wokalnymi zdolnościami. Głośno śpiewał pełną nostalgii pieśń, opowiadając historię jego życia. Jak to szło?... „Jedną ją tylko kochałem, dla niej bandytą się stałem”... i dalej: „A ona teraz się śmieje i za innymi szaleje.” Powtórzył ją co najmniej pięćdziesiąt razy i po godzinie każdy znał ją już na pamięć. No i ogólnie, to był bardzo sympatyczny pan. Miał trochę czerwony nos i dziwnie mętne oczy, ale przecież nie ocenia się ludzi po wyglądzie...

Jednak wśród nas byli też tacy, których nie wzruszyła pieśń dworcowego trubadura, grającego na butelce po winie. Jedną z takich twardych jak gład osób była dziewczyna siedząca przy swoim plecaku, i - tak jak wczoraj - pisząca coś w zeszycie.

Moja ciekawość zwyciężyła, i wkrótce, dzięki wrodzonej przebiegłości... to znaczy chciałam powiedzieć „sprytowi”, dowiedziałam się, co ona tak skrzętnie notuje.

„Ależ to niesamowite doświadczenie! Jakie cudowne! Niezwykłe!

Dziś na porannej mszy, mówiąc: „Ojciec nasz...”, staliśmy wokół ołtarza i trzymaliśmy się za ręce. Pan Jezus był w samym centrum tego kręgu! Był między nami i w nas!

Miałam łzy w oczach, a moje gardło coraz bardziej i bardziej zaciskało się ze wzruszenia.

Zdawało mi się wtedy, że nasze dłonie łączą się i jesteśmy po prostu nierozdzielny organizmem, z Bogiem wypełniającym wnętrze. Zdawało mi się, że każda twarz jaśniej i mocniej i mocniej. Widziałam bijący z nas blask!

A może to po tej mielonce?..."

Po wieczornym treningu, czyli dokładniej spacerze ulicami Krakowa i po kolacji z elementami dżemu i pasztetu, mieliśmy nieco czasu dla siebie. „Pani pisarka”- mimo rysującego się na jej twarzy zmęczenia- skrobała coś w swoim zeszyte.

„Dziś jedna z dziewczyn płakała. Było mi bardzo przykro... Nie wiem, co jej się stało, ale to nie jest w tym momencie aż takie ważne.

Każdy z nas przyjechał tu z bagażem przeżyć i smutków na sercu. Ja to wiem. Jestem tego pewna. Tu, podczas wędrowania, wychodzi z nas to, co nosimy w duszy, to, co ukrywaliśmy. Jest tylko i wyłącznie kwestią czasu, kiedy nerwy nam puszczą, kiedy z powodu zmęczenia nie będziemy mieli siły, by powstrzymać łzy. Czasem wystarczy jeden nieostrożny ruch, jedno dotknięcie, by betonowa tama w naszych wnętrzach nie wytrzymała naporu słonej wody. Oj, solanka na twarzy źle wpływa na cerę...

Ale ja doskonale znam ten stan. Każdego poranka borykam się sama ze sobą. Jest coraz ciężiej. Mam coraz mniej energii, by trzymać się prosto, lecz też - jak na razie - jeszcze nie upadłam. Tylko na wczorajszych rozważaniach było mi jakoś bardzo, bardzo dziwnie i źle, i coś wierciło mnie w brzuchu. Nie, tym razem to z pewnością nie była sprawa mielonki. Po prostu kiedy ksiądz mówił o tym, że Pan Bóg zawsze na wyrost stawia nam piątkę, a potem prosi: „wykaż się”, to wtedy... wtedy... Dobrze, że było ciemno. W świetle świec raczej nikt nie dostrzegł łez płynących po moich policzkach, i kapiących z brody na grubą koc, którym byłam przykryta.

Pomyślałam wtedy, że... byłoby cudownie, gdyby wszyscy nauczyciele mieli taki sposób oceniania.”

Dwa kolejne dni upłynęły pod znakiem intensywnych treningów. Przenieśliśmy się do Woli Kalinowskiej, skąd łatwo było się dostać do Ojcowskiego Parku Narodowego. No i przyszło nam w dwóch podejściach poznać wszystkie jego sekrety i zakamarki. Napędzani mielonką, śmigaliśmy po licznych wzniesieniach. Śnieg padał, i padał, i padał tak, że w środe brodziło się w nim aż po kolana.

Strat w ludziach na szczęście nie było, a ogromne straty w kaloriach i energii uzupełnialiśmy pysznym spaghetti. Tak! Na jeden z obiadów mieliśmy spaghetti! Było wyśmienite! Nikt nie znalazł w nim ani kawałeczka mielonki, co dodatkowo podnosiło jego walory smakowe.

A przed środową wyprawą mogliśmy nasycić się wyśmienitą jajecznicą z trzydziestu pięciu jaj (!). Najpierw wymieszaliśmy ja w misce, a po wlaniu na dwie duże patelnie, okazało się, że... wyszła zupa. Przez dziesięć minut jajka nie chciały się ściąć, lecz cała historia zakończyła się szczęśliwie. Na naszych talerzach wylądowało złociste danie. W powietrzu unosił się pieszczący zmysły aromat smażonego boczku i cebuli, krojenia, której podjął się najodważniejszy w grupie - Ksiądz.

Wieczorem odpoczywaliśmy, gnieźdząc się w jednym z pokoi, opowiadając dowcipy i rozmawiając. Tylko tamta dziewczyna jak zwykle wtuliła się w ką i przykryta kocem pisała swój pamiętnik.

„To bardzo dziwne, że w człowieku dzieją się takie rzeczy. Boli, gdy nie może on sobie z tym poradzić, nie może, chociaż się stara, chociaż bardzo chce i zrobilby naprawdę wiele, by zamknąć tę sprawę.

Tak, to naprawdę musi okropnie boleć, gdy nagle stwierdzasz, że wśród wydawałoby się - zupełnie jeszcze obcych, dopiero co poznawanych ludzi, przy kimś, kogo może nawet spotykasz po raz pierwszy w życiu, czujesz się lepiej niż we własnym domu. Jesteś wśród tych właśnie niezglębionych osób, i masz ciarki na myśl, że to się skończy za kilka dni, i że będziesz musiał wrócić tam, gdzie wcale nie jest ci dobrze. Aż serce piecze, gdy szykując wspólne śniadanie, śmiejesz się i żartujesz, jesteś pogodny i radosny, lecz na jedno wspomnienie o domu zaczyna cię ogarniać smutek. Dlaczego nie jest tak w twojej rodzinie? Dlaczego nie jest tak, że przy szykowaniu posiłku w domu śmiejesz się i żartujesz, i...? Dlaczego?... Dlaczego mijasz się z tymi, z którymi powinieneś iść po tej samej drodze?...

To naprawdę przykre, i mogłabym powtórzyć to stwierdzenie jeszcze wiele razy, a i tak nie byłoby dość.

Ale mimo tej świadomości, mimo, że wiem, czuję i często widzę ten żal ukrywany głęboko pod przymkniętymi powiekami, pomimo to przyjemnie jest popatrzeć, jak pracujemy tu wszyscy razem. Przyjemnie jest czuć, że jest się potrzebnym. Przyjemnie jest przyglądać się tym, którzy robią coś ze szczerych chęci. No, szczególnie, że w tym czasie ty możesz odpoczywać...”

Ostatniego dnia wyjazdu z trudem wydostaliśmy się z zasypanej śniegiem Woli Kalinowskiej, i zupełnie nienowym autobusem pojechaliśmy do Krakowa, by spędzić tam najbliższe kilkanaście godzin.

Po krótkich odwiedzinach w Łagiewnikach, Sanktuarium Miłosierdzia Bożego, Ksiądz dał nam trzy godziny wolnego, żebyśmy w tym czasie upolowali sobie coś do jedzenia.

- Start!- krzyknął, dając jednocześnie znak ręką.

Tłum uszył. Biegł w stronę rynku, torując sobie drogę łokciami. Zdziwieni mieszkańcy na wszelki wypadek schodzili nam z drogi, i z pewnymi obawami obserwowali, jak rozpierzchamy się po odchodzących od rynku uliczkach. „Bary mleczne, strzeżcie się!” skandowaliśmy.

Udało nam się opustoszyć wszelkie możliwe jadłodajnie w promieniu dwóch kilometrów. Obsługa w Mc'Donaldsie nie nadążała z donoszeniem hamburgerów.

- Cudowne!- zachwyciła się jedna z dziewczyn.

Druga pokiwała głową.

- No i to z pewnością nie jest mielonka.- powiedziała z pełnymi ustami.

Każdy starał się zjeść jak najwięcej, bo czekał nas jeszcze całonocny powrót do domu, a w planach nie mieliśmy już żadnego postoju na spożycie jakiegokolwiek posiłku.

Różne były techniki zdobywania pożywienia. Nasza pomysłowość nie miała granic. Dochodziło nawet do tego, że niektórzy zabierali okruszki chleba gołębiom biesiadującym na rynku. Ci najbardziej zdesperowani czaili się za pomnikiem i polowali na biedne ptaszki. Na szczęście gołębie potrafią latać.

Po ostatniej Mszy św., odprawionej u Sióstr Urszulanek, udaliśmy się jeszcze na seans filmowy, a stamtąd prosto na dworzec. Ledwie się pomieściliśmy w zatłoczonych przedziałach. Po kilku minutach rozmów i żartów wszyscy usnęli...

Była godzina dziewiąta rano. Większość osób pod eskortą rodziców udała się do swoich domów. Dopiero nasze matki uświadomiły nam, jak skuteczna była ta kuracja odchudzająca. Na nasz widok łapały się za głowy i wołały: „Co oni wam zrobili?!” Niektórych z nas w ogóle nie rozpoznały. Ale nam było wszystko jedno. Chcieliśmy tylko położyć się w wygodnych, ciepłych, miękkich łóżkach, w pozycji poziomej (nie w pionie -

jak to było w pociągu), i spać, spać, spać...

Ja wracałam do domu piechotą. Założyłam na plecy bagaż i rozglądając się z zaciekawieniem, powoli wychodziłam z budynku dworca. Towarzyszyło mi jakieś dziwne uczucie. „Czy ja już naprawdę jestem w Siedlcach?” nie dowierzałam. Mój wzrok wędrował po miejscach, które - choć doskonale mi znane - wtedy zdawały się być zupełną nowością.

Znalazłam się na dworze. Naciągnęłam czapkę na uszy i w pewnym momencie dostrzegłam jedną z dziewczyn uczestniczących w kuracji odchudzającej. Siedziała sama na rzuconym na ziemię plecaku, i skrobała coś w swoim ukochanym zeszycie. Podeszłam do niej, by się pożegnać i ukradkiem przeczytałam ostatni wpis.

„Już jestem! Nie, wcale się nie cieszę. Wcale nie mam ochoty „być”. Wołałabym znaleźć się na innym dworcu, w innym mieście, poznawać nowe, iść nieznaną mi drogą. Ale muszę wrócić do tych wszystkich zbytków, jakie czekają na mnie w domu. Pewnie niejeden by mi zazdrościł... Och, chyba rozdram to biednym...”

Ja wolę podróżować z moim plecakiem. Mam w nim to, co najważniejsze, i nie potrzebuję niczego więcej. Już nawet przyzwyczaiałam się do dźwigania go na grzbiecie. Do mielonki też zdążyłam się już przyzwyczaić. Nawet mi posmakowała...

Och... Nie chcę tu być! A czemu? Czemu tak myślę? Bo... bo wiem doskonale, że ta podróż, jaką odbywam każdego jednego dnia, jest o wiele bardziej uciążliwa od kuracji odchudzającej. Bagaż doświadczeń i problemów, jaki muszę nieść, jest nieporównywalnie cięższy od bagażu wypchanego ubraniami i całą masą innych drobiazgów.

Ale z drugiej strony... z drugiej strony... Ha! Powinnam się szeroko uśmiechać! Tak! Od dziś będę się szeroko uśmiechać! Ha! Jak mogłam wcześniej tego nie zauważyć?! Jak mogłam nie zauważyć, że moja codzienna podróż jest NAJPIĘKNIEJSZA?! Ona jest najpiękniejsza...”

Marta

